**Dziś w numerze:** Wizytówki św. Metodego nie było • Malowane płotki • Byłem w piekle • Ulica Piotrkowska • Muzyka w Łodzi • Rozmówki • Wiersze • Felietony • Recenzje

Wpisano do kontroli periodyków 2 Rejonowej Biblioteki Publicznej Łódź-Widzew Dn. 27.IX 1968

# odgłosy

MIEJSKA KOMITETOWA ODZNAKA M. ŁODZI

29 (569)
29. IX. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

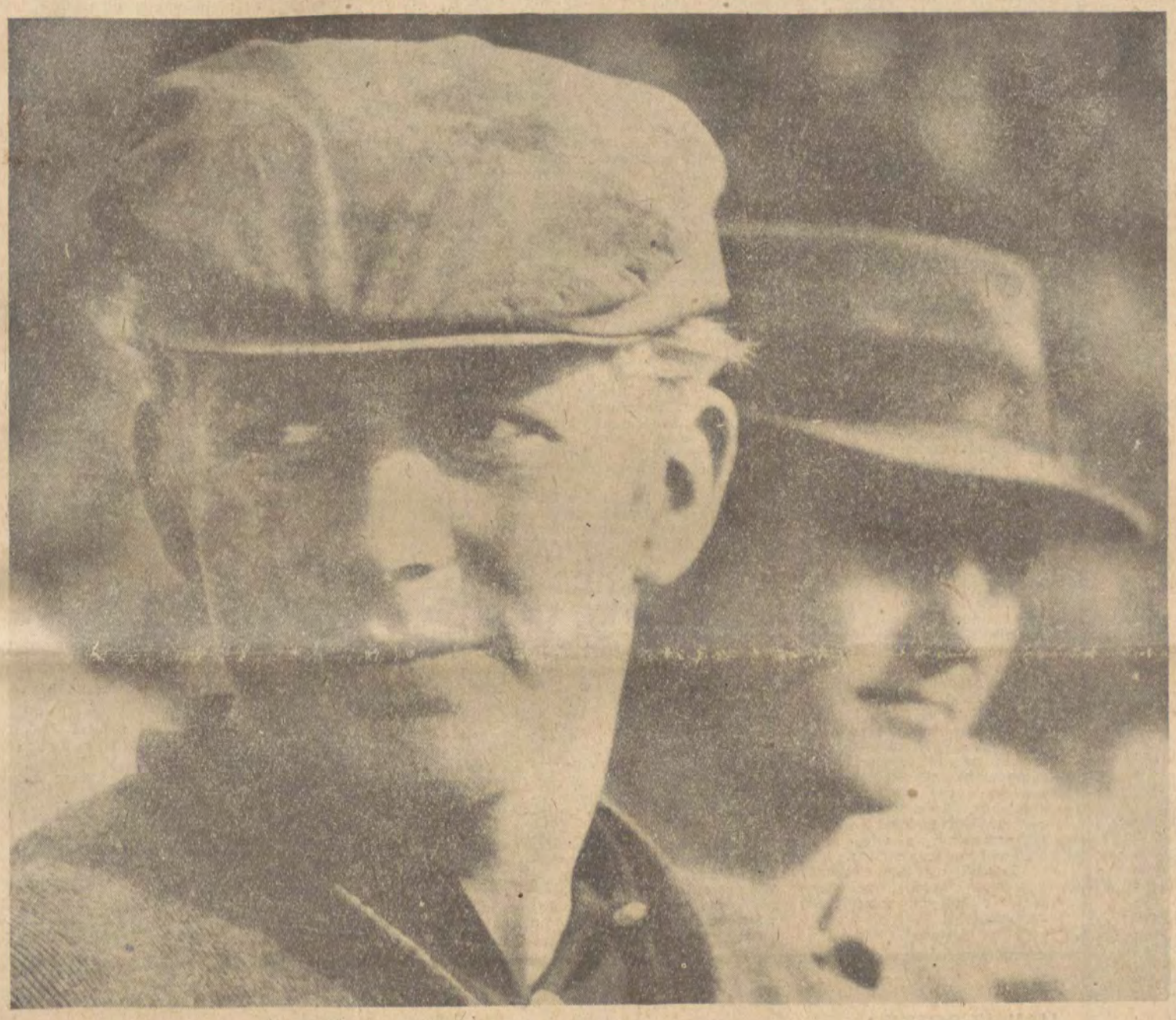

JAN KOPROWSKI

## Europejska prowincja czy prowincjonalna Europa?

**Pewien światły człowiek, z zawodu reżyser teatralny, powiedział przy jakiejś okazji: „Nie lubię rodzimych Europejczyków." Słowa swoje skierował przeciwko tym, dla których europejskość staje się, niejako automatycznie, symbolem najwyższej jakości każdego dzieła i każdej rzeczy. Nie lubię Europejczyków dlatego — dodał — że każde gówno stamtąd, z Europy, wynoszą oni pod niebiosa, a nie widzą i nie doceniają, bo nie chcą widzieć i docenić tego, co dzieje się u nas. Intelektualista Europejczyk powiada: trzeba wywieść naszą kulturę z prowincjonalnego zaścianka na szeroki europejski gościniec. Rodzimy Europejczyk twierdzi, że kultura polska jest zapóźniona w rozwoju i jej pierwsze i naczelne zadanie to przede wszystkim przyswoić sobie wszelkie zdobycze kultury europejskiej, a następnie dociągnąć do jej poziomu we własnej twórczości.**

Nasuwa się od razu pytanie: czy tak jest istotnie, a skoro tak, z czyjejż to winy, jeśli nie z winy Europy właśnie zostaliśmy przez kilka lat wojny i okupacji pozbawieni możliwości normalnego nieskrępowanego rozwoju. W czasie, gdy w Anglii, Hiszpanii, Szwajcarii, Niemczech i we Włoszech funkcjonowała instytucja państwa, działały organizacje społeczne, uniwersytety, ukazywały się czasopisma i wydawnictwa książkowe, polska myśl polityczna i kulturalna, polskie życie społeczne i umysłowe zeszły do podziemia. Okupant niszczył to, co stanowi o żywotności każdego narodu: jego wartości duchowe, a więc księgozbiory, muzea, archiwa, pomniki.

Czymże tedy jest Europa? Ujmując rzecz od strony geograficznej czy geopolitycznej Europa to obszar ziem od Atlantyku po Ural i od Morza Śródziemnego po Ocean Lodowaty. Ale Europa stanowi także kategorię kulturową i jako taka najbardziej nas tutaj obchodzi. Grecja i Rzym były jej matką i ojcem a idea chrześcijaństwa obejmowała swoim zasięgiem i wpływami cały europejski kontynent. Europa oznacza więc pewną wspólnotę cywilizacyjno-kulturową, jedność mimo odrębności, podobieństwo, mimo różnicy ustroju, historii i obyczaju poszczególnych narodów i społeczeństw. Renesans i barok w architekturze, impresjonizm neoklasycyzm w muzyce, naturalizm i symbolizm w malarstwie, romantyzm i realizm w literaturze przeszły przez sztukę wszystkich krajów Europy i chociaż przybierały różnorodne odcienie, miały w istocie

Dalszy ciąg na str. 2

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## POSŁANIEC Zaufania

**Życie każdego człowieka jest nie napisaną powieścią, nie nakręconym filmem.**

**Tak słyszałem.**

**Jeśli to prawda, więc ulicami świata chodzi wiele kryminałów, sensacyjnych czytadeł, w których czai się nikczemność zbrodni; chodzi wiele książek nudnych, czasu księżycowej pory i fałszywych westchnień; książek jałowych, gnuśnych, psychologicznie powiklanych, nadmiernie gorzkich, patetycznych i ckliwych, łagodnych jak światło poranka i brutalnych jak nędza ludzkiego sumienia.**

**Jeśli to prawda — po ulicach świata chodzi wiele najróżniejszych książek; chodzą także książki uczciwe, proste jak surowy trud codzienności.**

*

Co to może być za książka, której bohater urodził się w tysiąc dziewięćset trzydziestym?

Jak wybuchła wojna, miał dziewięć lat. Trochę za mało, aby unieść karabin i zabijać, budować wokół siebie legendę żołnierskiej odwagi, która zazwyczaj stanowi najpiękniejszy fragment życia.

— Pamiętam, to było na samym początku, ludzie uciekali z miasta przed Niemcami, my też, z domu na Bałutach; trochę drobiazgów zebranych w pośpiechu i dziecinny wózek: siostra miała dwa lata; pchałem ją w tym wózku szosą na Warszawę. Byliśmy trochę w Sochaczewie u ludzi, a potem wracaliśmy i aresztowali ojca w Głownie. Puścili go po paru dniach, ale matce to wszystko potargało nerwy: umarła w tysiąc dziewięćset czterdziestym; miała dopiero dwadzieścia dziewięć lat. Przed wojną matka pracowała u Biedermanna, a ojciec był formiarzem pończoszniczym w takiej żydowskiej budzie na Zielonej. Ojciec był ostry, brał udział w różnych strajkach, ale jak matka umarła, to się rozkleił. Ja też. Z wojny, to najbardziej pamiętam trzy rzeczy: śmierć matki, służbę u Niemca-Wołyniaka w takiej wsi Kwiatkowice koło Lutomierska i płonący Radogoszcz. Do Kwiatkowic trafiłem wtedy, jak ewakuowali naszą ulicę na getto. Ojca znowu aresztowali. Siedział w Radogoszczu. Na niedługo przed spaleniem Radogoszcza wywieźli go do Sieradza. Więc ja przez resztę wojny byłem sam, i u tego Niemca musiałem ciężko pracować, i byłem jeszcze za mały i za słaby, żeby uratować swoją godność przed razami.

Był za mały, aby unieść karabin, zabijać, budować wokół siebie legendę żołnierza-mściciela, ale był wystarczająco dorosły, aby zapamiętać pamięcią silniejszą niż wyrzut sumienia, i znienawidzieć nienawiścią dojrzałego mężczyzny.

Szybciej się wtedy dojrzewało, bo w wojnę nie ma miejsca na szczęśliwe dzieciństwo, naukę i zabawę, i kiedy wolność zawitała nad Łodzią, miał piętnaście lat, a wiedział więcej, niż niejeden wie o życiu dzisiejszy trzydziestolatek. Odnalazł się z ojcem, z siostrą; zamieszkali w tym samym parterowym domu na Bałutach, z którego wygoniła ich dwukrotnie wojna, i w którym mieszka do dzisiaj; pokój z kuchnią, wodę donosi się z dworu, gazu na tej ulicy jeszcze nie ma, ale niedawno zorganizował sobie prywatną gazownię, każdy tak może: dwie bulle nabijane raz na miesiąc jak wkłady do luksusowej zapalniczki. Poszedł w czterdziestym piątym do przerośniętej klasy powszechniaka, bo przed wojną zdążył zrobić tylko dwa oddziały. Uczył się

Dalszy ciąg na str. 3

# ze ŚWIATA

*Tym razem przegląd bieżącej sytuacji poświęcimy wydarzeniom jak gdyby z marginesu wielkiej polityki, które — być może — przeszły niezauważone przez czytelników. Tymczasem zasługują one w pełni na to, aby poświęcić im nieco miejsca.*

*A więc przede wszystkim AFRYKAŃSKI SZCZYT — V konferencja szefów państw i rządów w Algierze. Zebrała się ona, z udziałem 38 najwyższych delegacji, w sytuacji w tym rejonie świata skomplikowanej — głównie konfliktem bliskowschodnim, ale także rozwojem wydarzeń nigeryjskich.*

*Przed szczytem dyplomacja izraelska rozwinęła ożywioną działalność, której celem miało być niedopuszczenie do jednoznacznej rezolucji w sprawie konfliktu bliskowschodniego. Koła rządowe z Tel Awiwu przekonane były, że to działanie uwieńczone zostanie powodzeniem. Stało się tymczasem inaczej — większością 36 głosów opowiedziano się po stronie Zjednoczonej Republiki Arabskiej, wyrażając jej poparcie oraz zobowiązując państwa członkowskie Organizacji Jedności Afrykańskiej do wsparcia rezolucji Rady Bezpieczeństwa z listopada ub. roku. Rezolucja ta — to tylko gwoli przypomnienia — przewiduje m. in. wycofanie się wojsk izraelskich z zagarniętych terytoriów arabskich.*

*Kontrowersyjna okazała się natomiast sprawa wojny domowej w Nigerii, spowodowanej separatystycznymi tendencjami Biafry. Kontrowersyjna ponieważ niektóre z państw afrykańskich uznały już niepodległość Biafry. Konferencja ostatecznie opowiedziała się jednak przeciwko „bałkanizacji" Afryki, a więc i przeciwko oderwaniu się Biafry.*

*Szefowie rządów państw afrykańskich mocno poparli ruchy narodowo-wyzwoleńcze na tym kontynencie, jednocześnie jednak weryfikując je i zapewniając poparcie tylko ruchom autentycznym.*

*Szczyt algierski był starannie przygotowany przez spotkania ministrów spraw zagranicznych, ale też przyniósł nadspodziewane wyniki. Nie jest bowiem tajemnicą, że państwa afrykańskie, znajdujące się na różnych szczeblach rozwoju i często jeszcze poważnie uzależnione od mocarstw kolonialnych, różnią się poważnie pod względem politycznym. Mimo to, a także różnic plemiennych, odgrywających wielką rolę, dały one wyraz zrozumieniu potrzeby jedności. Można przeto stwierdzić, że z V konferencji Organizacja Jedności Afrykańskiej wyszła wzmocniona. Jest to fakt bardzo istotny, liczący się w walce przeciwko imperializmowi i wszelkim jarmom kolonializmu.*

*Ostoją kolonializmu jest PORTUGALIA. Ale ostatnie wydarzenia w tym kraju, którym właśnie chcemy poświęcić nieco miejsca, mogą doprowadzić do zmierzchu ery Salazara i wewnętrznego zwrotu, którego następstwa z pewnością nie pozostałyby bez wpływu na sytuację w afrykańskich posiadłościach.*

*79-letni dyktator Antonio Salazar, od 40 lat sprawujący niepodzielnie rządy w Portugalii, został sparaliżowany. Na porządku dnia stanęła sprawa sukcesji po nim. Ukształtowany dyktatem Salazara model państwa, w którym dominującą rolę odgrywają: policja, wojsko, koła finansjery i burżuazji oraz rozbudowany aparat biurokracji, wymaga człowieka równie jak Salazar nieograniczonego we władzy. Stąd też jako sukcesora wymienia się Marcelo Ceatano — profesora, byłego ministra sprawiedliwości, „wsławionego" ustawami, mającymi uwiecznić portugalskie władanie w Afryce. Taki następca byłby „godny" dotychczasowego dyktatora, który na pytania, jak długo Portugalia pozostanie w Afryce — odpowiadał lapidarnie: „zawsze" i który, jak pisze UPI, „przechorował wycofanie się Francji, W. Brytanii i Belgii z ich afrykańskich terytoriów".*

*Rzecz jednak w tym, że najprawdopodobniej posalazarowska Portugalia nie będzie mogła już pozostać państwem nieograniczonego faszystowskiego dyktatu. W podziemiu działa bowiem opozycja, która gdy skonsoliduje się może zagrozić obecnemu modelowi państwa, a w Mozambiku, Angoli i Gwinei, krajach, gdzie — w jarzmie portugalskiego kolonializmu żyje ok. 12 mln ludzi, krzepną ruchy narodowo-wyzwoleńcze.*

*„Portugalia — pisze londyński „Times" — może nie zmieni się bezpośrednio po odejściu dr Salazara, ale to już nie będzie ten sam kraj".*

*Portugalia jest krajem skrajnej nędzy, o wysokiej umieralności, najwyższym analfabetyzmie, 800-tysięcznej armii chłopów bez ziemi, stale wzrastającej emigracji zarobkowej. Jest jednocześnie krajem straszliwego terroru i dławienia swobód demokratycznych, w czym wyspecjalizowało się portugalskie gestapo — PIDE. Jest to wreszcie kraj najbrutalniejszych form kolonialnych, które zdecydowanie potępione zostały uchwałą Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych.*

*I właśnie przeciwko temu wszystkiemu — nędzy, terrorowi, kolonializmowi — tworzy się wspólny patriotyczny front. Prasa doniosła, że w Algierze opublikowano apel Patriotycznego Frontu Narodowego Wyzwolenia Portugalii, który nawołuje wszystkie siły antyfaszystowskie do rokowań na temat powołania Rady Narodowej, tworzenia obywatelskich komitetów w fabrykach, instytucjach i szkołach. Ich zadaniem byłoby przejęcie władzy z rąk zwolenników Salazara.*

*Jest więc wątpliwe, czy na dłuższą metę uda się zachować w Portugalii salazaryzm. Można raczej sądzić, że sytuacja będzie ewoluować w kierunku liberalnym.*

*W. SŁAWSKI*

# Europejska prowincja czy prowincjonalna Europa?

## Dalszy ciąg ze str. 1

wspólne źródło narodzin i rozwoju. Wszystkie miasta europejskie są do siebie podobne, choć oczywiście, znacznie się między sobą różnią. Podróżnika i turystę uderzy „gwiaździsta urbanistyka" Paryża i Szczecina, rys wspólny Wiednia i Budapesztu, Pragi i Monachium. Miasta europejskie spinają podobne kształty wież zamkowych i kościelnych, ten sam styl budownictwa i architektury nie dlatego jedynie, że niekiedy budowali je ci sami architekci. Wynikało to ze wspólnoty wzorców artystycznych, z jednolitej atmosfery, urabiającej podobne postawy i style życia. Ale Europa to nie tylko strzeliste gotyckie katedry, stare cmentarze z tysiącletnimi grobami, bogate biblioteki, pełne książek i starodruków, wybitne osiągnięcia naukowe, wysoka kultura i piękna humanistyczna tradycja wolności, godności ludzkiej i tolerancji. Europa to również wojna i zbrodnia, wyzysk i cierpienie, nędza i okrucieństwo. Wspaniały wiek dwudziesty rozpoczął się najazdem Anglii na bezbronnych Burów. Niemcy wywołały dwie wojny światowe, doprowadzając Europę do zniszczenia i ruiny. Włochy podbiły biedną i bezbronną Abisynię, a i szczycąca się z ideałów wolności i humanizmu Francja niejeden grzech ma na swoim sumieniu. To przecież Francja nie chciała „umierać za Gdańsk", nie rozumiejąc, że obrona Gdańska w 1939 roku była obroną Europy, a więc i Polski, i Francji, i innych krajów naszego kontynentu. Zresztą wkrótce potem Francuzi mogli się przekonać, że lepiej rozumiano interes Europy na Wschodzie, niż na Zachodzie.

Po ostatniej wojnie wiele pisało się i w dalszym ciągu pisze o problemie integracji Europy. Ciekawe, że najwięcej na ten temat mają do powiedzenia politycy i publicyści Niemiec zachodnich. Chciałoby się w związku z tym zauważyć: piszą o potrzebie zjednoczenia Europy ci, którzy byli jej cierniem i którzy powinniby raczej milczeć. Są historycy poddający w wątpliwość przynależenie Niemiec do Europy. Wprawdzie geograficznie rzecz biorąc Niemcy leżą w samym sercu kontynentu europejskiego, ale ich poczynania w dalszej i całkiem bliskiej przeszłości obracały się przeciwko ideałom wolności i humanizmu, a więc przeciwko tym wartościom, które Europa uważała i uważa za swoje największe osiągnięcie i którymi słusznie się szczyci.

Nasi rodzimi Europejczycy zdają się nie dostrzegać, że Europa była i jest producentem wartości różnych, często z sobą sprzecznych i wzajemnie się wykluczających. Nasi rodzimi Europejczycy przeceniają europejskość krajów zachodnich a nie doceniają (lub może nie chcą docenić) twórczości krajów wschodnich, w tym i Polski. To, co płynie z Zachodu, jest zawsze dobre i godne naśladowania, to, co powstaje u nas, jakże często oznaczone jest stemplem prowincjonalizmu i zaściankowości. Dają o sobie znać stare i nowe snobizmy. Wyrazem snobizmu i zapatrzenia się w wielki pępek Europy była przed paroma laty próba powołania do życia miesięcznika pn. „Europa". Nie chodzi o to, aby książki czy czasopisma nie można było ochrzcić tym imieniem, żądanie takie graniczyłoby z absurdem. Chodzi jedynie o to, aby mody nie brać za istotę rzeczy, snobizmu za walor prawdy, a pozoru za realną rzeczywistość. Pomijając już ten drobny fakt, że owi ówcześni a i dzisiejsi Europejczycy należeli jeszcze tak niedawno do zajadłych wrogów wszystkiego, co europejskie. Może więc lepiej nie zaczynać z nimi ani na starym, ani na nowym etapie.

Europa wiele już razy wystawiła nas do wiatru. Europie trzeba patrzeć na ręce, bronić jej przed nią samą tj. przed jej arogancją i lekkomyślnością, przed jej polityczną ślepotą i wygodnictwem, które tyle razy doprowadziło ją na skraj przepaści. Jeśli nie upadła zupełnie i całkowicie, to przecież m. in. dzięki ofiarności narodów Wschodu, w tej liczbie dzięki naszemu narodowi, który bijąc się „za waszą wolność i naszą", czegóż bronił, jeśli nie europejskiego dorobku myśli i postępowego dziedzictwa.

Ucieczka od Polski i z Polski nie jest ucieczką do Europy. Człowiek rezygnujący ze swej ojczyzny, rezygnuje z tego, co jest głęboką istotą europejskości. Bo „Europa ojczyzn" jest sumą wartości wszystkich narodów tutaj mieszkających. Europa nie jest abstraktem. Europę zbudowali ludzie w niej osiadli na europejskich polach pełno rozsianych grobów, w których spoczywają nasi dziadowie, ojcowie i bracia. Zginęli oni, broniąc ziemi ojczystej i katedr Paryża.

Nie mogę się oprzeć przekonaniu, że nasi rodzimi Europejczycy mają niekiedy opaczne wyobrażenie o europejskości kultury i sztuki. Cały ich wysiłek i cała dążność skierowane są do zacierania kolorytów narodowych. W pojęciu rodzimego Europejczyka literaturę polską wówczas wyprowadzimy z opłotków rzekomego zaścianka, jeśli ją upodobnimy do prądów wiejących nad Sekwaną i Tamizą, jeśli zamienimy jej polską odrębność na ponadnarodowy uniwersalizm. Pisarz, opętany ideą europejskości, tworzy dzieła, których akcja dzieje się wszędzie i nigdzie, których bohaterowie zdążają znikąd i do nikąd, a nazwy i nazwiska, pejzaż i obraz świata nie dają się odnieść do żadnej realnej rzeczywistości. Francuz nie będzie czytał książki, przypominającej mu francuskich autorów. Jeśli sięgnie po utwór polski, to jedynie wtedy i po to, aby się przekonać, w czym jesteśmy inni od nich, Francuzów, w czym się od nich różnimy, jakie nowe wartości i bogactwa wnosimy do wiedzy o dzisiejszym skomplikowanym świecie. Znakomity pisarz angielski, J. B. Priestley, w wydanej osiem lat temu obszernej pracy „Europejczyk i jego literatura" (Literature and Western Man) napisał m. innymi, że z chwilą, gdy w literaturze krajów europejskich zaginą koloryty narodowe, zaginie ona sama — literatura. Anglii nie potrzeba jeszcze jednego Pintera czy Geneta z kontynentu. Ale Anglików może zainteresować pisarz polski, pokazujący polskie sprawy i problemy w nurcie współczesności, o tyle, o ile wniesie on coś więcej i coś innego, niż Pinter i Genet. Alberto Moravia nie jest wcale pisarzem aż tak wybitnym, za jakiego uważa się go powszechnie. Lecz jeśli zdobył sobie to znaczenie, jakie posiada, to dlatego, że w swoich książkach pokazał życie dzisiejszego Włocha z całą jego barwnością i odmiennością. Czytelników w Europie zafascynował u Moravii obyczaj, który ujawniony na kartach jego utworów, wzbogacił o jeszcze jeden kolor obraz świata dzisiejszego.

Nawet arogancki Europejczyk, Gombrowicz, zrozumiał (i przyznał się do tego), że jeśli przestanie w swoich książkach być przybyszem ze Wschodu (czytaj: z Polski), przestanie być w ogóle pisarzem. Europa przestanie się nim zajmować w tym stopniu, w jakim zajmuje się obecnie. A już on tam dobrze wie, co w trawie piszczy. Jest przecież od lat Europejczykiem, emigrantem, zna literaturę europejską i jej potrzeby. Tenże Gombrowicz nazwał Sienkiewicza „pierwszorzędnym pisarzem drugorzędnym", ale i jemu (Gombrowiczowi) i nam wiadomo, że na liście przekładów na języki obce w Europie i na świecie Sienkiewicz znajduje się w czołówce, a Gombrowicz daleko w tyle. Bo Sienkiewicz niósł na zachód Europy to, o czym Europa nie wiedziała, czego nie znała, a co ją fascynowało odmiennością, co otwierało jej oczy na literatury inne, wcale nie gorsze, tyle tylko, że mniej znane.

W książce wspomnianego już Priestleya nie ma ani słowa o Gombrowiczu, mówi on natomiast o Sienkiewiczu i Reymoncie, którzy byli dostatecznie polscy, aby mogli stać się potrzebni Europie.

Europa jest zaprzeczeniem prowincji, a prowincja zaprzeczeniem Europy. Ale czy nasi rodzimi Europejczycy nie są przypadkiem nosicielami prowincjonalnych kompleksów? Czy tworząc mity o wielkiej Europie i naszym rzekomym zaścianku nie ujawniają się sami jako ludzie zarażeni kompleksem niepełnowartościowości? Człowiek wychowany w kraju rzek i jezior, nie będzie wciąż mówił o wodzie, ale dla mieszkańca pustyni woda staje się niepokonaną obsesją. Żyjemy w normalnym kraju, rozwijającym się w sposób naturalny we wszystkich dziedzinach życia i twórczości. Nie powinno być w nim miejsca na urazy, winy i kompleksy. Polska nie była i nie jest europejską prowincją, ani prowincjonalną Europą. Nie wmawiajmy w siebie choroby, której nie ma. Europa jest wszędzie i prowincja jest wszędzie. Prowincja jako ten najbliższy region, jako skrawek ziemi ojczystej zawsze była największym sprzymierzeńcem pisarza. W tym sensie najbardziej prowincjonalnym pisarzem świata jest William Faulkner. Jest on zarazem pisarzem europejskim i światowym, gdyż w swoich bohaterach z prowincji potrafił jak rzadko kto odkryć ludzkie cierpienia i nadzieje, wspólne wszystkim i wszędzie. Można mieszkać w Paryżu i być wiecznym prowincjuszem (mieliśmy i mamy takich) i można mieszkać w Yoknapatawpha, o której nikt nie wie i która, być może, nie istnieje, i być Europejczykiem. Bo europejskość jest kategorią umysłową, intelektualną, stosunkiem do życia i historii, do pracy i kultury. Europejczyk to człowiek o rozległych horyzontach, patriota swego kraju, internacjonalista, poczuwający się do wspólnoty z innymi, homo honestus, broniący wypróbowanych wartości ludzkich.

Kiedy żył i pisał Jan Kochanowski, wielki patriota i Europejczyk, w wielu krajach nie było jeszcze żadnej liczącej się literatury.

Niechże rodzimi Europejczycy pamiętają o tym, i nie uczą nas Europy, do której się garnęli, za którą walczyli i umierali nasi przodkowie.

**JAN KOPROWSKI**

JANUSZ ROSZKO

# WIZYTÓWKI ŚW. METODEGO NIE BYŁO

**Ulica, biegnąca stromo po przylegającym niemal do Wisły zboczu, nazywa się Gontyna. Dzielnica, sławna obchodami odpustu, nazywanego Emaus oraz sposobiąca Lajkonika do dorocznego obchodu — ma dziwne miano: Zwierzyniec. Gdzieś zapisano, że król Władysław IV miał tutaj ogród zoologiczny, ale przecież nazwę zapisano jeszcze w XIII wieku — w tajemniczej, zlatynizowanej postaci: Sverinzia. Ulica Gontyna prowadzi do kościoła św. Salwatora, ustawiona na zewnątrz gotycka ambona robi wrażenie, jakby kazania odprawowali tu jacyś apostołowie, z kazalnicy widok wspaniały na meandry Wisły. Z jednej strony Wawel w słońcu, zielonkawe od patyny wieże — z drugiej starodawny Tyniec na skale, w niebieskawej mgiełce.**

Mając to nazw dziwnych zgromadzenie spacerowaliśmy przed paru laty po wysokiej trawie koło murów z pięknej, romańskiej kostki, rozważając ewentualność. Oni — to znaczy historycy architektury w osobach prof. dr Wiktor Zin i adiunkt dr Władysław Grabski — powiedzieli już swoje. Odsłonili ostatecznie tajemnicę kościoła św. Salwatora, która frapowała badaczy od dziesiątek lat. Ustalili ostatecznie fazy budowania, co stało się pierwszą rewelacją archeologiczną z całej serii, które jedna po drugiej wybuchały za ich przyczyną.

Dziwne wezwanie kościoła — św. Salwatora było bardzo popularne w krajach, gdzie obowiązywał obrządek słowiański i nazywane było tam „pod wezwaniem św. Spasa"... Nazwa „Sverinzia" bywała różnie tłumaczona — a nawet wyprowadzana od imienia boga Swarożyca. Nazwa „Emaus" wzięła się nie tylko z Biblii — pod tym wezwaniem istniał klasztor obrządku słowiańskiego w Pradze — w XIV wieku. Oba kościoły noszą inne wezwania — ale odpust, sławny w całej podkrakowskiej okolicy nieodmiennie nazywa się „Emaus". W dawniejszych latach ludek odprawował tu sobie różne igry, których tradycja pono sięgała czasów słowiańskich.

Według tablicy, którą w roku 1622 wmurowała w ścianie kościoła pod wezwaniem św. Salwatora przedsiębiorcza ksieni Kącka, na podstawie starych podań powiada się, że w tym miejscu stała „bałwochwalnia, którą św. Wojciech, apostół Słowian, na kościół Zbawiciela poświęcił". Ostatnie słowa należą już do Ambrożego Grabowskiego, który nie zauważył, że na tablicy jest mowa o Adalbercie, arcybiskupie gnieźnieńskim — a św. Wojciech nigdy tej funkcji nie pełnił. Pomyliła się zatem albo dbająca o doczesną sławę ksieni, albo pan Ambroży.

# POSŁANIEC ZAUFANIA

## Dalszy ciąg ze str. 1

i równocześnie od czterdziestego ósmego pracował jako tkacz w Zakładach Bawełnianych im. Szymańskiego, i równocześnie chodził do przyzakładowej szkoły włókienniczej, a już jako osiemnastoletni chłopak wziął na siebie obowiązki pana domu żeniąc się z koleżanką od warsztatu: miał dziewiętnaście lat, kiedy został szczęśliwym ojcem córki, a dwadzieścia jeden, kiedy doczekał się następcy tronu.

Mówi:

— Nieraz robi sobie człowiek wyrzuty, że nie wykorzystał wszystkich szans, że nie pokierował życiem najlepiej, jak było można. Tyle, że ja od czterdziestego ósmego pracuję bez przerwy na trzy zmiany; odkąd sięgnę pamięcią, ciągle te trzy zmiany. Po wojnie wszystkie chłopaki w moim wieku pracowali. Ale po pracy grali w karty na trawiastych skwerach, pili gorzałkę, a ja w domu kołysałem wózek nogą, żeby berbeć nie płakał, i żeby mieć wolne ręce do obrania kartofli. Człowiek się nauczył prać, gotować, sprzątać, targować zawzięcie z kumoszkami na Bałuckim Rynku i stać cierpliwie w ogonkach do rzeźnika; nauczył się szanować czas, swój i innych, czytać książki w drodze do pracy, a gazety w drodze do domu; tramwaj, który dla wielu jest udręką, dla mnie był drugim domem...

W pięćdziesiątym drugim zmienił wraz z żoną pracę i odtąd aż do dziś są tkaczami w Południowo-Łódzkich Zakładach Przemysłu Jedwabniczego. Często pracowali na jednych krosnach, zamieniając się stanowiskami w domu i przy warsztacie, i jeszcze teraz tak się zdarzy, że widzą się tylko parę chwil na dobę, wymieniając w pośpiechu na zamianie przelotne słowa. Napór obowiązków trwał nieprzerwanie, ale dziwna rzecz, on mówi:

— Człowiek hartował się w ogniu walki, nie było czasu myśleć o zmęczeniu. Ciągle dostawałem jakieś bodźce. Kiedy na początku nowej pracy chodziłem na kursy szkolenia zawodowego i jeden z towarzyszy powiedział, że chyba będą ze mnie ludzie, to — człowiek wtedy był świeży, otwarty na pochwały — myślałem o tym po nocach, czułem się dłużnikiem tego jednego, maleńkiego zdania, które przecież w wielu wypadkach rzuca się, ot, tak, w przypływie dobrego humoru bliźnim na pociechę.

Był w ZMP, a przed wstąpieniem do partii w sześćdziesiątym trzecim roku, przeszedł jako zakładowy mąż zaufania rzetelny kurs pracy społecznej. Wiecie, jakie funkcje spełnia w fabrykach mąż zaufania? Chodzi o to, żeby ludzie nie biegali z każdą sprawą od razu do rady zakładowej, aby ktoś przedtem wyłapywał, selekcjonował ich troski aby godził zwaśnionych, rozsądzał. Czuwał nad tym, żeby ci, najbardziej potrzebujący, zajmowali w pierwszej kolejności mieszkania zbudowane z zakładowych funduszów — sam w tym czasie doczekał się trzeciego dziecka i wciąż mieszka w parterowym domku na Bałutach, pokój z kuchnią, woda z dworu, gaz z butli — żeby na kolonie letnie dzieci robotników wyjeżdżały co roku sprawiedliwie, nie wciąż te same. Dobrą, humanitarną szkołę przeszedł jako mąż zaufania.

— A do partii — powiada — wstąpiłem z największego przekonania. Człowiek dojrzewał, nauczył się patrzeć i myśleć trochę głębiej, niż na początku pracy w zakładzie. Widziałem, jak zmienia się kraj, bo jeździłem dużo po Polsce, widziałem jak zmienia się miasto i moje Bałuty, widziałem, w jakich warunkach chodzą do szkoły moje dzieci, a pamiętałem przecież swoje szkoły, tę przed wojną, obskurną, wilgotną budę, gdzie belfer w spódnicy wymachiwał chwacko rózgą, i tę po wojnie, skromną podstawówkę o prymitywnych, wysłużonych ławach i spękanych ścianach. Mój syn chodzi do technikum budowlanego i mówi, że zostanie inżynierem. Córka ukończyła liceum pielęgniarskie, pracuje, ale jeszcze nie wieczór, powiada, że będzie próbować na Akademie Medyczną. Ja im nawet nie musiałem przypominać, że muszą się uczyć, nie musiałem wpajać im ambicji.

W partii został grupowym; zbierał składki, zawiadamiał ludzi o zebraniach; pełnił w dalszym ciągu, jakby bezwiednie, funkcję zakładowego męża zaufania, i nie była to wcale funkcja nominalna: zdobył sobie u ludzi to, o co bezskutecznie czasami zabiega niejeden kierownik, niejeden dyrektor wielkiego przedsiębiorstwa. Zaczęli o nim mówić:

— Ten...

Właśnie! Który! Jaki?! Podaj jego nazwisko! — powiecie. — Podaj imię! Przecież miało być o nie zapisanej książce. Szarej, codziennej, ale prawdziwej, takiej, co chodzi między nami po ulicach roboczego miasta.

Więc podaję:

Stanisław Józefiak.

Niewysoki mężczyzna o silnej budowie i bardzo delikatnych, szczupłych rękach. Można by zamieścić jego zdjęcie, ale jaki obiektyw potrafi oddać połyskliwy szron na skroniach ciemnych włosów, lekką opaleniznę twarzy, otwartej, uczciwej, która pomimo ciężkich przeżyć dzieciństwa i twardej, wyczerpującej pracy nie zastygła w wyrazie zgorzknienia? Każdy jest kowalem swego losu, ale każdy swój los wykuwa w innych warunkach: niejeden kończy kuć tam, gdzie drugi zaczyna; dlatego dużo jest na świecie ludzi przedwcześnie zgorzkniałych, zniechęconych, uległych wobec przeciwności życia, nieczułych na jego dramatyczne piękno. W oczach Józefiaka nie znajdziesz cienia neurastenii. Ale jakie zdjęcie mogłoby oddać pogodny, pływny blask jego oczu?

— W tym człowieku jest dużo werwy. Trudno uwierzyć, że ma trzydzieści osiem lat. Potrafi z młodzieńczą pasją rozprawiać o sporcie i o polityce, i o bolączkach zakładu. I nikt chyba nie widział, żeby Józefiak się zżymał, denerwował bez powodu.

Czy to jest jedyna, ostateczna odpowiedź na pytanie: dlaczego on, szeregowy tkacz, zdobył sobie wśród ludzi taką popularność?

Mówi:

— Kiedy po głosowaniu podano wyniki i usłyszałem, że mam być delegatem na V Zjazd partii, nad dojmującym uczuciem radości zapanowało uczucie zażenowania. Nigdy bym nie przypuszczał, że to właśnie mnie wybiorą towarzysze, że zdobyłem sobie wśród załogi takie zaufanie. Nie wiem, czy rzeczywiście na nie zasłużyłem. Wiem co innego: była to chyba jedna z najpiękniejszych chwil w moim życiu, a przecież jeszcze tego samego dnia, zaraz po konferencji, odbierałem w Zakładzie Doskonalenia Rzemiosła na Łakowej państwowy dyplom mistrzowski, z dawna upragniony i wyuczony po nocach. Splotły się we mnie obie te radości tak mocno, że znowu spać nie mogłem w nocy, i sam nie wiem czemu — ciągle dzwoniły mi w uszach słowa tego towarzysza, który na początku mojej pracy w jedwabiu powiedział, że będą ze mnie ludzie.

**ANDRZEJ MAKOWIECKI**

---

Jeżeli więc bałwochwalnia — to jaki bałwan był w niej czczony? Można sobie wyobrazić na podstawie nazwy „Sverinzia", że Swarożyc. Ale to przypuszczenie bardzo dowolne. Jesteśmy na Salwatorze, możemy spojrzeć ze wzgórza na Kraków. Widać stąd jak na dłoni Wawel, Skałkę, Kopiec Krakusa, a z wieży kościoła pewno Tyniec. Ktoś, kto lokował tu ową bałwochwalnię, wybrał miejsce pod każdym względem świetne. Albo ten, kto lokował kościół. Bo o pogańskim miejscu kultu nic pewnego poza mglistą tradycją nie wiemy.

Kościół jest raczej niewielki, z jedną wieżą, pośród jesiennych już drzew, ma jedno dziwo — czyli kazalnice na zewnątrz. Profesor Zin ostrzega mnie, że to nic starego. Rzecz barokowa. Wewnątrz będą rzeczy ciekawsze. Zespół naukowy katedry historii architektury polskiej przy Politechnice Krakowskiej odkrył bowiem coś na Salwatorze. Maleńkie co nieco — jakby powiedział Kubuś Puchatek. Ale cała, żywo dotąd dyskutowana sprawa kościoła św. Salwatora, wygląda wskutek tego odkrycia zupełnie inaczej, niż dotąd przyjmowano. Ale nie uprzedzajmy faktów. Powiedzmy, jak mówiono o kościele św. Salwatora dotąd.

Pierwszeństwo oddajmy dokumentom. Oczywiście na samym początku trzeba postawić pytajnik. Pierwsza data to rok 1148, kiedy to Piotr ze Skrzynna, syn Włosta, zwany Duninem albo też Dunczykiem, o którym pisałem, że można go uważać za polskiego Monte Christo XII wieku, zbudował kościół „starodawnym i pierwotnym sposobem z kwadratowych, drobnych kamieni" — jak pisze Jan Długosz.

Jego zięć, Jaksa Gryfita z Miechowa, który tułał się aż do Ziemi Świętej z Henrykiem Sandomierskim — pewnie, by u grobu świętego prosić o wybaczenie win dla starego Włostowica — w roku 1162, w pięć lat po śmierci teścia, osadził klasztor Norbertanów na Zwierzyńcu i uposażył trzema wsiami.

Tak losy Zwierzyńca związały się z rodami Duninów i Gryfitów. Kościół św. Salwatora stawiał Piotr zapewne w swoich włościach, które za córką przeszły później na Gryfitów. W roku 1183 parafia została za biskupa krakowskiego Gedki inkorporowana do zwierzynieckiego klasztoru. Podczas najazdu Tatarów, w r. 1241 klasztor u stóp wzgórza zostaje zniszczony i mnichostwo — byli to bowiem mnisi i mniszki — przeprowadza się do św. Salwatora (źródła powiadają, że w 1149 roku Piotr Dunin postawił kościół i mały klasztor z drzewa dla Norbertanów ze Zwierzyńca; nie wiadomo jednak, czy chodzi o początki tego, który uposażył Jaksa, czy też o Salwatora). Zespół klasztorny w widłach Wisły i Rudawy odbudowuje się. Norbertanie wyprowadzają się z Salwatora, który na powrót staje się w roku 1258 kościołem parafialnym. Ostatniej przebudowy w kościele dokonała rzeczona ksieni Kącka.

Badania prowadzone były najpierw w roku 1947 przez Zygmunta Gawlika, później w latach 1955—1956 przez Jerzego Hawrota z Politechniki Wrocławskiej, przy współudziale archeologa docenta Andrzeja Żakiego. Gawlik opracował stronę historyczną i sklasyfikował istniejące mury. Hawrot, dopatrując się w nie bardzo symetrycznych przybudówkach po obu stronach prezbiterium — pastoforiów, czyli pomieszczeń wybudowanych łącznie z kościołem, a nie później, wywodzi plan budowli ze wschodu, łączy z obrządkiem słowiańskim i wreszcie sugeruje, że była to pierwsza katedra krakowska. Doc. Żaki mówi o zniszczeniu przez cmentarz nawarstwień kulturowych, a znalezione szczątki ceramiki datuje na wiek XI—XIII. Powiada w oparciu o studia stylistyczne zabytku i przypuszczenia poprzednich badaczy, jak Gumowski i Mączyński — że bazylika na Salwatorze pochodzi najpóźniej z przełomu wieku X na XI, co odnosiłoby się do czasów Bolesława Chrobrego. Prof. Zachwatowicz natomiast twierdził, że technika murów i obróbki wskazuje raczej na początek lub połowę XI wieku. Wszyscy do tąd traktowali kościół w obecnym jego planie jako bryłę monolityczną, która wprawdzie doznawała poprawek, ale bez uszczerbków dla planu, i w tym miejscu dopiero można zrelacjonować historię tegorocznych badań.

Jeszcze Gawlik zwrócił uwagę na fakt, że prezbiterium nie jest jednolite, ale też uważał je — podobnie jak i następni badacze — za najstarszą część kościoła. Właśnie na ścianie wschodniej prezbiterium prof. Zin i adiunkt Grabski zauważyli, że faktura muru jest nieregularna — po prostu znać ślady osuwania się kościoła. Mur był przechylony. Ale narożniki stały prosto — i to narożniki z wielkich kamieni. Ktoś poprawiał rzecz i doprowadził do pionu. W dodatku dużą ilość detali architektonicznych użyto do budowy wtórnie. Profile romańskie ułożone były w murze jak popadnie, a nie tak jak należałoby je logicznie ulokować. Chyba dowód na to, że budowano tę część — czyli prezbiterium — w pośpiechu. Łuki romańskie, stanowiące przejścia z obu przybudówek do głównego prezbiterium, sprawiały wrażenie przyklejonych do innej całości. Skoro prezbiterium wydało się naszym uczonym podejrzane — zaczęli badać jego styk z nawą główną.

Już po wstępnych oględzinach okazało się, że zbudowano je osobno i „doklejono". No i że warto kopać właśnie w tym miejscu. Mógłbym tutaj Czytelnikom zaprezentować opis — pełen napięcia i grozy — jak to dwóch naukowców w kościele cmentarnym grzebie się nocą w podziemiach i drżąc z niecierpliwości natrafia wreszcie... Oszczędźmy tego. Około 120 centymetrów od obecnego poziomu posadzki, w miejscu gdzie prezbiterium styka się z nawą główną — natrafiono na resztki fundamentów, biegnących półkoliście i przechylonych względem pionu. Osunęły się, przechyliły — w tę samą stronę, którą wykazywał mur prezbiterium. Po prostu tak ukształtowany jest stok salwatorskiego zbocza. Dalsze prace odsłoniły świetnie czytelną absydę romańską, półkoliście zamykającą nawę główną. Stało się jasne jak słońce, że te relikty są starsze od obecnego prezbiterium. Kierując się wyłącznie kryteriami architektonicznymi uczeni datowali ten typ absydy na koniec wieku XI. Inni specjaliści, którzy obejrzeli odkryte relikty, nie cofnęli się przed postawieniem daty przełomu wieku X na XI, lub pierwszej połowy XI. Nie tutaj jednak cała rewelacja salwatorska się kończy. Przystąpiono bowiem do badania murów nawy głównej.

W chwili odkrycia owej absydy wydawało się, że to właśnie jest najstarsza część kościoła, który już — już, a zostałby zakwalifikowany jako budowla XI-wieczna. Ale kopiąc przy murach wzdłużnych okazało się, że posiadają one fundamenty jeszcze starsze.

Dalszy ciąg na str. 4

JAN BĄBIŃSKI

# Malowane płotki

Czy kto słyszał o Tokay-Essenz?

Jeśli nie, to służę informacją.

Tokay-Essenz jest jednym z najdroższych napoi na tym globie. To boski nektar sprzedawany co parę lat na aukcji u Christiego w Londynie. Wiosną ukazały się tam cztery półlitrowe butelki tego trunku z 1889 roku. Za każdą otrzymano po 150 dolarów. To jest dopiero paskarska cena. Ale też napój jest czymś niezwykłym, zupełnie wyjątkowym. O jego cudownych właściwościach krążą legendy. Tokay-Essenz nawet trupa stawia na nogi. Wyrwał z bram śmierci niejednego księcia i niejedną koronowaną głowę z powrotem na tę grzeszną, pełną jednak powabów i pokus ziemię. To boska ambrozja, o niepojętej sile, którą się spija ze złotych pucharów.

Cudownego tokaju, który udaje się ponoć raz na dziesięć lat w mikroskopijnych tylko ilościach, nie kupisz w mieście Łodzi nawet w dolarowym sklepie. I na nic nie przydadzą się badylarzowi miliony. Nic nie pomogą galanteryjnemu sklepikarzowi worki pełne ludowych złotówek. Chyba, że sklepikarz, gdy poczuje chłód starości na grzbiecie, wyskoczy samolotem na parę tygodni nad Tamizę. Nie zginie. Bądźmy spokojni, swój wywącha swego. Sklepikarz na ślepo nigdzie nie wyjeżdża. Wie gdzie zapukać, którą nacisnąć klamkę i jakie rzucić hasło. Co straci u Christiego i na striptease'owych seansach w rozświetlonym neonami Soho, to sobie potem odbije z nawiązką w nędznym z pozoru sklepiku nad Łódką. Raz tu, raz tam a każdy taki skok to jeszcze jeden stos równo ułożonych tysiączków.

Prywatny sklepik z galanterią.

To właśnie te sklepiki obsiadły jak muchy plaster miodu co ruchliwsze arterie miasta Łodzi. Takie klitki. Grosza byś nie dał. Ale tłok w nich taki, towaru tyle, że sam „Uniwersal" na placu Niepodległości zzieleniałby z zazdrości. Wchodzisz do klitki i oczom nie wierzysz. Sezamie otwórz się. Tu nie ma miejsca na nici, naparstki, tasiemki i sznurowadła. Tu jest miejsce na towar wyszukany, pierwszorzędny, importowany, który zwykła koleją rzeczy nabywa się wyłącznie w sklepie dolarowym przy Traugutta. Oczywiście gdy się ma wujka w Ameryce, bo jak się nie ma, to obliż się przez szybę. Przyjdź i zobacz. Galanteryjny sklepikarz może uszczęśliwić najbardziej wybredne dusze. Czego tam nie ma. Są swetterki, non-irony, są bluzki, bliźniaki, szaliki, ortaliony, wszystko mieni się kolorami, błyszczy i migocze, leży w stertach po sam sufit. Doprawdy w głowie się mąci od samego patrzenia.

Za sklepową ladą paniusie.

Wydekoltowane, z bransoletą od samego Aspraya, wyperfumowane, spoglądają na klientów z pobłażaniem i ledwo maskowaną ironią.

One przez tydzień mają więcej niż profesor uniwersytetu przez trzy miesiące.

Sytuacja staje się paradoksalna. Nie tylko. Staje się w najwyższej mierze denerwująca. Pewnie, że prywatny handel jest tak samo potrzebny jak prywatne rzemiosło. Czy jednak potrzebny jest taki handel? Czy rzeczywiście leży nam na sercu, by te właśnie klitki robiły największe obroty i zbierały samą śmietankę? Jak to się wreszcie dzieje, że te sklepiki mają wszystko, a duży dom towarowy nie ma niczego? Jak do tego doszło, że nawet komisy zeszły na plan dalszy? W jaki sposób niewielka grupka spryciarzy potrafiła zmonopolizować obrót najbardziej atrakcyjnym towarem i nikt jej w tym nie przeszkadza? Gdzie jest powiedziane, że handel państwowy jest do czarnej roboty i ma obracać kartoflem i owsianym płatkiem, a prywaciarz ma obracać nylonowym złotem? Cwaniak kpi z nas wszystkich w żywe oczy. Jest zaprzeczeniem wszystkiego, czego uczymy w szkołach.

Przyjrzyjcie się uważniej tym galanteryjnym sklepikom.

Są żyłą złota. Otwartą. Widoczną. Ta żyła leży na wierzchu i błyszczy. Dostęp do niej wcale jednak otwarty nie jest. Absolutnie. Jest zarezerwowany dla niewielkiej tylko garstki wtajemniczonych, którzy potrafią komu trzeba wmówić, iż są w nylonowych cudach specami nie do zastąpienia. Problem jest zresztą ogólnokrajowy. Bo królestwem prywatnego byznesu nie jest wcale Narutowicza czy Kilińskiego w Łodzi, ale pewne ulice w stolicy. Tam dopiero można się napatrzeć. Przed sklepikiem, w którym pewnie stały kiedyś cztery beczki ze śledziami, stoją teraz hillmany, cadillaci, stoją pontiaci o jakich się nie śniło nawet podłódzkim badylarzom. Tam dopiero kwitnie byznes. Ale tym łódzkim galanteryjno-nylonowym sklepikarzom też niczego nie brakuje. Mogliby to i mogliby jeszcze więcej. Są tylko rozważniejsi, po cóż kłuć bliźniego w oczy cadillaciem? Lepiej już siedzieć cicho w moskwiczu lub polskim fiacie i udawać, że deszcz pada.

Galanteryjni branżowcy najzwyczajniej w świecie wykorzystują luki w handlu komisowym.

Bo gdyby komisy działały bez pudła to sklepikarze splajtowaliby już dawno i zajęli się sprzedażą cebuli na ulicznych straganach. Ale komisy to dla nich żadna konkurencja. Różne na to składają się przyczyny. Na pewno personalnej albo jak kto woli kadrowej natury, ale też organizacyjnej, a już najbardziej biurokratycznej. Co jak co, ale handel to już biurokracji nie strawi. Jest dla niego zabójcza. A tu biurokracja wprost uniemożliwia komisom zaopatrywanie się w towar bez cienia wątpliwości modny, poszukiwany i w dobrym gatunku. Komisy mają w pewnym sensie związane ręce i ograniczona inicjatywę. Założono im sztywny gorset utkany z rygorystycznych przepisów, którego zrzucić, przynajmniej na razie, żadna miara nie mogą. Biurokracja ustanowiła, że kto zostawia jakiś towar w komisie, musi wpierw okazać się dowodem osobistym. Nie wszyscy to lubią. Większość nie lubi. Po które, a to już przeszkoda trudna do wzięcia, kto pragnie zbyć w komisie więcej jakiegoś towaru, musi przedstawić dowód odprawy celnej.

Nic bardziej nie raduje galanteryjnych kombinatorów jak ten właśnie przepis, który im napędza tysiące do kieszeni. Dowód odprawy celnej. Przecież celnicy takich dowodów nie wydają. Podróżny kładzie wypełniona deklarację, celnik błyskawicznie wylicza cło, a jeśli to cło mieści się w granicach 1500 złotych, a tak najczęściej bywa, przybija na deklaracji stempel, kładzie podpis i po odprawie. Proszę bardzo, można przechodzić... Podróżny nie otrzymuje też deklaracji. Pozostaje ona na miejscu, jako dowód odprawy w Urzędzie Celnym. Podróżny niczego nie otrzymuje prócz błogosławieństwa na drogę. Celnicy wychodzą po prostu z założenia, że skoro przywiezione z zagranicy przedmioty mieszcza się w 1500-złotowym limicie, to istnieje prawdopodobieństwo, że turysta przeznacza to co przywiózł dla siebie, lub dla najbliższych. Dokument z odprawy celnej jest mu więc niepotrzebny. A podróżny też niczego nie żąda, by nie wzbudzać jakichś podejrzeń.

Tymczasem podróżny ma te swoje kalkulacje i jemu tylko znane cele.

Złotówkami nie gardzi.

Niejeden stypendysta, stażysta i niejeden przedstawiciel łódzkich central handlu zagranicznego przeistacza się w Paryżu, Londynie i Rzymie w rodzaj życiowego abnegata i ascety, przy którym średniowieczni mnisi z zakonu Cystersów w Sulejowie mogliby uchodzić za zwyrodniałych do cna pasibrzuchów. Facet nie je, nie pije, nie pali, nie chodzi na strip-teasy, ale na lotnisko w Bourget taszczy te swoje walizy pełne dóbr wszelakich, jakich nikomu nie szczędzi nylonowa cywilizacja europejskiego Zachodu. Część tych błyskotek pójdzie do szuflady dla żony, lub narzeczonej, która nie omieszka od razu okazać wdzięczność bez miary i umiaru. Druga część, być może ta większa, pójdzie prostym i mocno przyspieszonym lotem do galanteryjnego sklepiku. Bo sklepikarz i jego upierścieniona małżonka to ludzie kulturalni, światowi, oblatani i dostatecznie kuci, aby o nic nie pytać. Wcale ich nie interesuje czy bluzki są z Gamages w Londynie, z Monoprixu w Paryżu, czy też z ulicznego straganu na Pigalle. To nie ma znaczenia. Ważna jest tylko cena i nic więcej.

Więc ile, proszę pana?

Po 500 sztuka.

Drogo, ale niech już będzie...

Dziękuję, to już wszystko. Żadnych wywiadów, żadnych podchwytliwych pytań, żadnych świdrujących wejrzeń, żadnych westchnień dwuznacznych i aluzji. Tu towar, tam pieniądze. Sklepikarz nie ma głowy do pytań i sprawdzania czyichś dokumentów. On ma głowę do czego innego. Tanio kupić — drogo sprzedać, oto cała jego życiowa dewiza, na której przez te lata źle nie wyszedł. Daj nam Boże... Dewiza jest prosta, jasna, co istotne — skuteczna. Transakcja przebiega w atmosferze wielkiej grzeczności i miłych uśmiechów pani sklepikarzowej, która niby machinalnie ogląda brylantowe pierścienie od Aspraya na swych palcach. Można mieć do niej pełne zaufanie. Można też mieć zaufanie do małżonka pani sklepikarzowej, który wprawdzie często jest w rozjazdach, nieboraczek, nigdy jednak z pustym koszykiem nie wraca.

Biją też inne źródła, wśród których niepoślednią rolę odgrywają dolarowe sklepy, czarny rynek, przemyt marynarski, paczki z zagranicy, dolarowe bony, pośrednicy w portach, cała sieć mniejszych i większych dostawców, którzy nic tylko śmigają i niuchają za wszystkim co da się wygrzebać, odkopać, z czego można wycisnąć złocisze. Sklepikarze mają wszędzie swoich ludzi. Są niezniszczalni. Posługują się im tylko wiadomym kodem.

Galanteryjni sklepikarze tworzą współczesną arystokrację finansową. Stać ich na wiele. Stać ich na więcej niż podłódzkich badylarzy. Badylarz choć kosi od środka, to jednak musi też inwestować. I to krocie. Ziemia nie da jak jej nie dać. W co inwestuje galanteryjny sklepikarz? Nie wiem. Być może w brylanty. Rodzinne oczywiście. Gdyby sklepikarz zechciał mógłby jak nic zamówić sobie u Christiego Tokay-Essenz za 150 dolarów butelka. Ten nektar nieśmiertelności wprawdzie nie zapewnia, przysparza jednak tyle siły witalnej, tyle męskiej mocy, że drżyjcie dziewice. A to dla starszych panów z grubszą forsą nie jest bez znaczenia. Dobrze się mają geszefciarze i członkowie galanteryjnej mafii. Interes idzie doprawdy znakomicie.

Handel prywatny potrzebny jest na pewno i może spełniać budującą rolę. Ale w tym handlu na kluczowych pozycjach usadowiły się grube ryby, które tylko udają płotki. Czy kto zresztą widział płotkę w akwarium ze złota?

Fot. J. Mareszek

# WIZYTÓWKI ŚW. Metodego NIE BYŁO

Dalszy ciąg ze str. 3

I wydawało się, że wszystko jest jasne: bo odkryto romańskie mury, wyznaczające plan bazyliki trójnawowej. Po czterech latach wrócili — wcześniej nie można było jakoś posadzki rozbierać i rozgrzebywać wszystkiego... A mieli wielką chrapkę odkrywcy, bowiem natrafili w nawie głównej na fundamenty muru półkoliście idącego... ale dokąd?! Absolutnie nie zgadzało się, aby łuk absydy i odkryty fragment nowego łuku — mogły razem utworzyć rotundę. Inny promień półkola.

Zin i Grabski wiedzieli już, że poprzedni badacze Krakowa miewali pecha. Już przy kościele św. Wojciecha przekonali się, że słynnemu Łuszczkiewiczowi trzeba było pogłębić wykop o 20 cm., aby mógł natrafić na fundamenty najwcześniejszej fazy. Z okazji projektu konserwatorskiego dla kościoła Salwatora wrócili tu raz jeszcze — aby sprawę ostatecznie rozstrzygnąć.

Zdjęcie posadzki w prezbiterium i nawie głównej i wykopy aż do calca zmieniły zasadniczo pogląd na fazy budowy kościoła. Poczynając od tego, że półkolisty mur w nawie głównej okazał się istotnie fundamentem rotundy romańskiej — a kończąc na śladach pożaru w fazie najwcześniejszej. Trzeba jednak — idąc od warstw ziemi nie naruszonej przez człowieka zrelacjonować, jak historycznie nawarstwiało się salwatorskie wzgórze. Najwcześniejszą okazała się posadzka z płytek kamiennych, łupanych płasko, które spękały kiedyś od ogromnego żaru. Na płytkach gruba warstwa przepalonych szczątków drewna. Ślady ogromnego pożaru, echo stuku spadających belek, trawionych ogniem, na rozżarzoną do białości posadzkę z kamiennych płytek.

Fundamenty tej budowli z drobnej kostki romańskiej — mają kształt krzyża greckiego!!! Oto rewelacja wielkiej miary. Wyodrębniona została bowiem wreszcie najstarsza faza zagadkowej budowli salwatorskiej. Jej kształt — twierdzą Zin i Grabski — wiąże się z państwem libickim Sławnikowiczów w Czechach — kościół o analogicznym niemal fundamencie, lecz w formie nieco bujniejszej, poświęcono w Libicach w początku X wieku, zburzono w 995 roku! Jest wreszcie łącznik: postać św. Wojciecha, który był przecież z rodu Sławnikowiczów. Św. Wojciech wspomniany przez księnię Kącką. Na gruzach pierwszego kościoła, który miał rzut w kształcie krzyża greckiego wybudowano techniką znacznie prymitywniejszą — z nie ociosanych kamieni, spojonych byle jak zaprawą — rotundę romańską. Po rotundzie przyszła budowla z absydą, którą odkryto w 1961 roku, później jeszcze z nowym prostokątnym prezbiterium... Wielkie romańskie okno w głównej ścianie tego prezbiterium, później zamurowane i zmniejszone do małego romańskiego okienka naprowadziło badaczy na ślad, że wewnątrz samej romańszczyzny budowla ma dwie fazy... Nie przypuszczano, że mury te są późniejsze od najwcześniejszych fundamentów o kilkaset lat...

Owa budowla z absydą, odkryta w 1961 roku przez Zina i Grabskiego łączy się chyba z ową notatką Długosza o tym, że Piotr ze Skrzynna, zwany Duninem zbudował tu kościół „starodawnym sposobem z kwadratowych drobnych kamieni". Ale jak wykazały badania mogła to być tylko... odbudowa.

* * *

Chodząc po wysokiej trawie na wzgórzu świętego Salwatora myślimy wszyscy zapewne, że uczymy się wciąż brać prawdę z legend i znajdować potwierdzenie dla wielu bardzo nieraz fantastycznych i zdałoby się, wymyślonych przez kronikarzy — baśni.

Autor najstarszego przewodnika po kościołach Krakowa — Pruszcz — zapisał w roku 1647 — że z Wielkich Moraw do Miecława, pierwszego chrześcijańskiego pana, przyniesiono krucyfiks, który władca umieścił w kościele św. Salwatora. Postać Chrystusa Mieszko w kosztowną szatę kazał odziać, w złotą koronę i trzewiki perłami haftowane. I wspomniał Pruszcz, że krucyfiks ten znajduje się w Sirolo koło Loretu we Włoszech, a Władysław Semkowicz, zafrapowany legendą — odnalazł krzyż w Naumanie koło Sirolo. Wielki, ponad dwumetrowy krucyfiks daje się, zdaniem Semkowicza, datować najwyżej na wiek XI.

I skoro już jesteśmy przy najstarszych zapisach, dotyczących kościoła św. Salwatora — przypomnijmy nestora historyków, Naruszewicza. „Wiele morawskich familii na początku X wieku, unikając okrucieństwa pogan Hungarów, którzy część Wielkiej Morawii opanowali, osiadło w Polszcze. Rzecz do prawdy podobna, że około tegoż czasu schroniwszy się do wielkiej Chrobacji, gdzie teraz województwo krakowskie, wielu duchownych, otrzymali pozwolenie zbudować sobie w Krakowie na Kleparzu kościół pod tytułem św. Krzyża, gdzie nabożeństwo dla schronionych Morawców odprawowali...".

Tyle tylko, że ów kościół na Kleparzu, w miejscu dzisiejszego placu słowiańskiego — zbudowano dopiero w 1390 r., gdy Jagiełło sprowadził z Pragi benedyktynów — którzy w obrządku słowiańskim odprawiali nabożeństwa. Właśnie ze wspomnianego klasztoru pod nazwa „Emaus".

Tak więc wiele tradycji wokół salwatorskiego wzgórza się nagromadziło, tak wiele, że nie bardzo wiadomo, co z tym wszystkim począć. Święty Wojciech i analogie libickie sugerować mogą, iż krzyż z Sirolo mógł być ofiarowany kościołowi przez któregoś z późniejszych Mieszków — może Mieszka II, który podług zapisów umiał się

# BYŁEM W PIEKLE

**Wysłannik włoskiego tygodnika „Epoca" Brunello Vandano przebywał w Biafrze. Oto jego relacja.**

BIAFRA WE WRZEŚNIU

**WĘDRUJĄC PRZEZ OSADY I WIOSKI PRZEŻYŁEM TRAGEDIĘ GINĄCEGO LUDU. GŁÓD I BOMBY NISZCZĄ WSZYSTKO. KAŻDEMU MOJEMU KROKOWI NA TEJ ZIEMI TOWARZYSZYŁ NIEUSTANNY KRZYK BÓLU...**

Chcę opowiedzieć moje przeżycia dwóch dni i dwóch nocy z wielu jakie tu spędziłem. Trudno mi określić dokładnie daty, w Biafrze zatraca się pojęcie czasu. Jednostajny upał, ten sam w nocy co w południe, wilgoć, niespokojne, pełne głosów noce, trudny do zniesienia zapach, brak wszelkich przejawów normalnego życia, to wszystko nie pozwala skupić myśli.

Biafra zamknięta pierścieniem nigeryjskich wojsk powoli ginie. Wprawdzie na południu front nie jest stały, ale Nigeryjczycy panują nad całym obszarem kraju, aż po Abę. Na zachodzie sięgają Aba, dalej schodzą do Owerii i krok za krokiem wdzierają się w busz. Na północnym zachodzie lotnisko Uli jest stale ostrzeliwane. Zagrożone jest również nowe lotnisko w Uturi, gdzie mają lądować samoloty Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Myślę, że Biafra nie wytrzyma dłużej niż miesiąc — dwa... Biali, których tu spotykałem, obliczają, że gdy Biafra padnie, liczba ofiar ludzkich sięgnie czterech milionów; połowa zostanie wymordowana, resztę wykończy „kworshiorkor" — straszliwa choroba spowodowana brakiem białka. W tej chwili liczba ofiar kworshiorkoru sięga sześciu tysięcy dziennie. Są to przeważnie dzieci. Dorośli wytrzymują dłużej, a starcy już wymarli.

Pomoc nieszczęśliwym niosą ośrodki misyjne i nieliczni lotnicy, przywożący żywność, którym czasem uda je się wylądować w Biafrze. Ale to wszystko jest kroplą w morzu i właściwie bez większego wpływu na ocalenie nieszczęśliwych i tak już skazanych.

San Tomé — na równiku, 800 km od Biafry — ośrodek misyjny. Stąd wyruszyłem do piekła. San Tomé — kraina bladoniebieskich domków, a tuż obok Trinidade e Saudade — drewniane, białe domy zagubione w zieleni lasów, wysoki na 2000 m szczyt wulkanu w mgle i chmurach, w pobliżu niewielkie lotnisko, gdzie raz na tydzień lądują samoloty. W małym hoteliku odpoczywają szwedzcy lotnicy, których bohaterstwo i odwagę miałem okazję podziwiać, uczestnicząc w dwóch lotach, przycupnięty wśród worków sproszkowanego mleka. Przesuwające się pod kadłubem samolotu chmury coraz rozdzierały pociski nigeryjskiej artylerii przeciwlotniczej, która prażyła w nas z dołu. Tysiąc dolarów za każdy lot, do podziału na 3 osoby, nie stoi w żadnym stosunku do ryzyka jakie podejmują piloci.

Na początku mego pobytu odwiedziłem szpital misyjny w Ihiala. Sale zapełnione chorymi i umierającymi dziećmi. Są tu także ich matki. Przedziwna wielobarwna sceneria — kolorowe stroje kobiet i miedzianożółty kolor skóry i włosów dotkniętych chorobą dzieci. Pielęgniarka Ibo przynosi na dłoni malutką... jakby małpkę. Nazywa się Lucy Ezewuru. Ta trzymiesięczna dziewczynka nie przypomina w niczym dziecka, tak jest odmieniona, odczłowieczona. Wychudzona straszliwie twarzyczka jest oblepiona wyschniętą skórą przylegającą do kości, których zarysy widać aż nazbyt dokładnie, czoło pokryte zmarszczkami, oczy pozbawione ludzkiego wyrazu, nieruchome. Na całym ciele skóra zwisa fałdami. To dziecko waży niecałe 2 kg! Może uda się ją wyratować, bo nie jest to przypadek kworshiorkoru, ale głodu. Kworshiorkor to nie tylko głód, ale przede wszystkim brak białka — a więc mleka, ryb, jaj, mięsa. Nazwa choroby wywodzi się z Ghany i znaczy „różowy człowiek". Nietrudno odróżnić dzieci umierające z głodu, od tych, które niszczy kworshiorkor. Pierwsze są wysuszone, ale ich skóra i włosy są czarne — drugie wyglądają na oko jak dobrze odżywione, ale to pozory, te dzieci są opuchnięte. Siostra odsłania łachmany przyniesionego dopiero co dziecka — wydęty brzuch, nogi jak bochny chleba, nieruchome oczy, całkowita apatia oznaczają zaawansowaną daleko chorobę. Nie zapomnę chyba nigdy tych oczu, z których nawet łza nie spłynie. W innej sali, na łóżku, po troje nieruchomych dzieci. Są w agonii — hemoglobina w ich krwi spadła do 10 proc.

Lekarz biafrański pokazuje mi 5-letniego malca. — „To typowy przypadek. Nazywa się Okeke Anasudu. Jego rodzina zbiegła z północy. Dwaj bracia zostali zamordowani — ścięto im głowy, a mordercy na oczach rodziców grali nimi w football. Okeke przez całe tygodnie żywiony był trawą cassava. Najpierw spadał z wagi, a potem zaczął puchnąć — wreszcie całkiem przestał jeść. Włosy uległy depigmentacji, z czarnych stały się miedziane. Skóra zaczęła odstawać i utworzyły się nie gojące się rany. Kiedy dziecko przeniesiono tutaj (znalazł je w buszu jeden z misjonarzy) było już za późno. Mały ma uszkodzoną wątrobę, serce i mózg są już zniszczone. Gdyby nawet udało się go uratować, pozostanie na zawsze imbecylem. Niestety, dla małego Okeke niczego już zrobić nie można".

W towarzystwie przewodnika wyruszam w głąb lasu. Po upływie pół godziny mój towarzysz raptownie zatrzymuje wóz. Wśród gęstwiny listowia widać ukrytą chatę. Na legowisku z gałęzi leży kobieta i dwoje dzieci. Kobieta powoli unosi głowę — dzieci są martwe. — „Takich chat w lesie jest tysiące. W każdej znajdują się martwe lub umierające dzieci" — objaśnia przewodnik.

Jedziemy dalej. Naprzeciw nas kroczy coś, co przypomina więcej widmo niż człowieka. Dziecko — a raczej już szkielet dziecka — równie dobrze może mieć cztery jak i dziesięć lat. Nie reaguje na nasze wołanie, nie chce przystanąć — nie słyszy niczego.

Spotkaliśmy grupę kobiet. Niosły ciała swych dzieci, by je pochować.

O godzinę drogi misja Owerii. Tu sytuacja jeszcze tragiczniejsza. Sale szpitala jeszcze bardziej przepełnione. Pod drzewami kobiety z chorymi dziećmi. Czyżby czekały na przydział żywności? Okazuje się, że inna jest przyczyna ich czekania. Właśnie siostra wynosi dziecko, którego twarz przykrywają liście — miejsce jego zajmie inny malec. Kobiety czekają na to miejsce. W jednym tylko baraku zmarło w tym dniu 60 dzieci.

Wyruszam na północny wschód, przejeżdżamy przez miasteczko Okigwi — mijamy wysokie wzgórze, gdzie las styka się z sawanną i dojeżdżamy do Ucuri — misji niezbyt odległej od frontu. Tu sytuacja bardzo ciężka — żywność kończy się. W ciągu ostatnich dni uratowano od śmierci 300 dzieci; pogrzebano 420.

Nocuję w St. Finbarś. Do mego pokoju, dochodzą odgłosy afrykańskiej nocy. Duże jak ptaki owady krążą wokół świecy...

Rano udaję się do Ministerstwa Informacji. W baraku spotykam dziewczęta i chłopców, którzy ukończyli studia uniwersyteckie. W towarzystwie urzędnika ministerstwa jadę do Aba. Po drodze mijamy uciekinierów niosących na głowach cały ocalony dobytek. Przejeżdżamy przez miasto — nastrój wojenny daje się wyraźnie odczuć. Nie widać jednak ani dział ani sprzętu wojskowego — są tylko uzbrojeni w karabiny i automaty żołnierze. Podobno walczą rozpaczliwie, do ostatniego tchu.

Musimy wracać, bo może nam braknąć benzyny. W Owerrinta daje się słyszeć wybuch. Przelatuje nad głowami samolot. Od strony szkoły krzyki rannych, kłęby dymu, tumany kurzu. Spadło pięć bomb — 20 ofiar — kobiety, dzieci, kierownik szkoły i pastor. Bomby padają na szpitale, szkoły, targowiska — wszędzie tam, gdzie są ludzie. Bombardowanie odbywa się tylko w dzień. Biafra nie ma żadnej obrony przeciwlotniczej.

Wieczorem wracam do szpitala w Ihala. Stoi cało. Jak dotąd, uniknął bombardowania. Przed bramą szpitalna małe przeciwlotnicze działko! To cała obrona.

Nie ma już żadnego dziecka z tych, które widziałem poprzedniego dnia. W ciągu dwóch dni zmarło 200 dzieci. Mały Okeke jeszcze żyje. Pochylam się nad nim — ma umalowane oczy. Obrys oka wykonany ołówkiem, jest zupełnie wyraźny. Nawet rzęsy umalowane. — „Co to ma znaczyć? czy to jakiś rodzaj tatuażu, czy zabobon?..." — „To próżność — wyjaśnia pielęgniarka. — Widząc umierające dziecko, matka pragnie, by było piękne chociaż w chwili śmierci, by mogła mówić „moje dziecko było takie ładne, pamiętacie, jakie miało oczy?!"

Mały Okeke nie doczekał nocy. Ja udaję się na spoczynek. Kiedy zasypiam, wydaje mi się, że słyszę głosy, setki, tysiące wołań... „umarliśmy, umarliśmy, wszyscy umarliśmy, biały człowieku...".

Opr. **MARIA TYMOWSKA**

---

modlić „po łacinie, po grecku i po słowiańsku"... Bowiem gdyby maczał w salwatorskiej imprezie palce Wojciech Sławnikowicz — kiedy miał zdążyć z ofiarą Mieszko I, który zmarł wcześniej?,

Jeżeli ostatnią fazę romańską datować na XII wiek — to dwie poprzednie mogły się zmieścić na przestrzeni XI wieku...

Gdyby nie rotunda, cofnięcie niejako w logicznym rozwijaniu się faz przebudowy, nagłe przejście jakby w inny czas — zbliżająca się ku początkom chrześcijaństwa w Polsce.Tego oficjalnego, Mieszkowego, przyjętego z Czech za pośrednictwem Dąbrówki... Bardzo prymitywna technika budowlana, zastosowana przy wznoszeniu rotundy (budowano ją szybko — twierdzi Zin) przywodzi od razu na myśl rotundę wawelską, datowaną na połowę wieku X. A także rotundę na Krzemionkach, której relikty tkwią w fundamentach kościoła św. Benedykta. Te argumenty nakazywałyby cofnąć czas budowy kościoła pierwszego, zbudowanego na planie krzyża greckiego — w wiek X. Zin i Grabski w „Roczniku krakowskim" wypowiedzieli się nadzwyczaj ostrożnie: że najpóźniejszą datą wzniesienia św. Salwatora mógł być rok śmierci pierwszego chrześcijańskiego władcy Polski.

„Libice, jak wiadomo, zburzone zostały w czasie najazdu Bolesława II w r. 995, kiedy zburzono również kościół. Po tym więc czasie mniej prawdopodobne jest zakładanie możliwości oddziaływania jej na budowlę salwatorską.

Wszystkie wymienione wyżej względy skłaniają nas do stwierdzenia, że najstarszy kościół salwatorski nie mógł powstać później jak w 60-tych latach X wieku. Dalsze studia, być może, dadzą podstawę do przesunięcia daty powstania świątyni na wcześniejszy okres historii...". Ale wkrótce potem sugerują, że jest on najstarszą budowlą kamienną Małopolski...

Jeżeli więc najstarszą — to wcześniejszą od budowli wawelskich?!

Posłyszałem głosy, iż analogii trzeba szukać nie w Libicach, ale gdzie indziej. Może największe pokrewieństwo wykazuje ze św. Salwatorem najstarsza cerkiew św. Klemensa (Klimenta) nad jeziorem Ohrydzkim w Macedonii... Ona również pochodzi z początków X wieku. I trudno zbliżyć się tutaj do zaklętego kręgu wieku IX, gdy wraz z wyprawa wielkomorawskiego Świętopełka miało wkroczyć do Małopolski chrześcijaństwo — w obrządku słowiańskim, krzewionym przez Cyryla i Metodego.

Gdy odkryto formę krzyża greckiego, zdawało się, że już, już — można powiedzieć, że oto wizytówka św. Metodego znaleziona nareszcie na przedmieściu Krakowa. Napisałem zresztą pod takim tytułem reportaż, publikowany w „Świecie". Tymczasem dalsze badania skłoniły wszystkich do sceptycyzmu. Trudno bowiem przypuszczać, aby po upadku Wielkich Moraw dopiero fala chrystianizacji przeszła przez ziemie Wiślan i zostawiła ślad w postaci kościoła na wzgórzu św. Salwatora, zgodnie ze wzmianką Naruszewicza o ucieczce Wielkomorawian do Małopolski...

Archeologiczne badania prowadził wespół z prof. Zinem docent Żaki — który wyszedł z założenia, że kościoła nie fundowano na pustkowiu. Zaczął skwapliwie oglądać wzgórze — czy aby nie będzie śladów obwarowań — fos, wałów. Obejrzał plan katastralny — i układ parcel na XIX-wiecznym planie wydał mu się zbliżony kształtem do dawnego grodu. Zasięgał opinii najstarszych mieszkańców — i kształt grodu wydał mu się czytelny. Ale na wały i fosy nie natrafił — a ślady osadnicze wykazały czas zgoła odległy — okres kultury łużyckiej, więc jeszcze przed narodzeniem Chrystusa. Potwierdziło się to zupełnie przypadkowo: w roku 1967 na skarpie wzgórza od strony ulicy Królowej Jadwigi osunęła się nagle skarpa — na dachy niżej stojących domów. Katastrofa. Ale w tym nieszczęściu — które nie pociągnęło za sobą żadnych poważniejszych skutków destrukcyjnych — było szczęście. Odsłonił się spory przekrój przez stok bez użycia robotników i nakładów finansowych. W przekroju ukazały się wielkie skupiska przepalonej gliny. Po badaniach stwierdzono, że był to wał obronny łużyckiego grodziska, który uległ jakiemuś gigantycznemu pożarowi. Zin i Grabski robili później eksperyment: drzewo ułożone na metr nad ubitą glina wypala glinę na 2 cm w głąb. Tutaj glina spalona była na 50 centymetrów! Więc wniosek, że fajczyło się nielicho, a drewniana konstrukcja wału musiała być imponująca. Ale cóż, Łużyce... Uchwycono je jeszcze w kilku punktach. Może na wałach łużyckich ułożono późniejsze konstrukcje obronne, już we wczesnym średniowieczu? Ale nie ma materiału ceramicznego z okresu wczesnego średniowiecza, który mógłby to przypuszczenie potwierdzić.

Pisząc ten rozdział przeprowadziłem jeszcze uzupełniającą rozmowę z dr Władysławem Grabskim, adiunktem prof. Zina. Chodziło mi o wyjaśnienie spraw, związanych z rotundą.

— Mamy najnowszą koncepcję, że pierwszy kościół sam runął, była katastrofa budowlana, zawaliło się całe prezbiterium, bo stok zaczął uciekać. Wtedy właśnie obudowano tę przestrzeń zrujnowanego prezbiterium rotundą, jak barbakanem. Rotunda ma kamień łamany byle jak, z rozbiórki, spojony zaprawą o zbyt małym procencie wapna. Prymitywniejsza niż Adaukt wawelski i Krzemionki. Prawdopodobnie znowu nastąpiła katastrofa: zawaliła się...

Ostatnia interpretacja wygląda zatem nader katastroficznie, bo od katastrofy na zboczu w naszych czasach — po katastrofy budowlane wieku... właśnie, którego wieku ostatecznie?

Zatelefonowałem do Grabskiego.

— Prawdę powiedziawszy, to my dalej, tak po cichu i nieśmiało wierzymy, że pierwszy kościół powstał w okresie wielkomorawskim...

**JANUSZ ROSZKO**

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

# ULICA Piotrkowska

W Powstaniu Warszawskim poległa ulica Marszałkowska, jedyna bodaj — obok Piotrkowskiej — z wielkich ulic w Polsce, stanowiących tak jednorodny, czysty zespół monumentalnego budownictwa eklektycznego wysokiej klasy z lat zaawansowanego kapitalizmu. Łódź — miasto, nie ludzie — wyszła na ogół z wojny obronną ręką. W mroźny dzień styczniowy wkroczyły na nie zniszczoną Piotrkowską oddziały Armii Czerwonej i Wojska biało-amarantowego. Nowo powstałe demokratyczne instytucje, stowarzyszenia, świetlice i żłobki wypełniły pałace Piotrkowskiej. Do opuszczonych przez reichsdeutschów (ludność polska była w „czasach Litzmanstadtu" ze śródmieścia wysiedlona) mieszkań w kamienicach niegdyś o najwyższym w Łodzi standardzie — przyszli ludzie, którzy w okresie naszej umownej wędrówki po „Kominogrodzie" nie mogliby w nich w żadnym wypadku zamieszkać, pomijając kwestię gett środowiskowych i zawodowych, choćby ze względu na wysokość czynszów. Ulica znów podjęła swą żmudną, codzienną pracę.

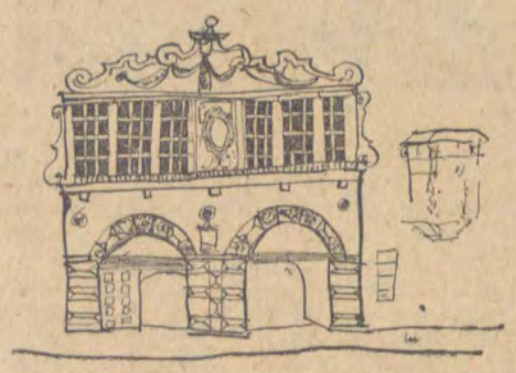

Dziwna to i jakże pracowita ulica. Powołana do życia dla obsługiwania w najdalszej perspektywie trzydziestotysięcznego miasta w epoce furmanek i koczobryków, była jeszcze przez szereg lat po wojnie główną arterią komunikacyjną grubo ponad półmilionowej Łodzi. Sporo lat upłynęło, zanim przestały na niej dzwonić tramwaje, a ruch kołowy wpłynął w kaniony przebitych przez gąszcze chaotycznej zabudowy tras wylotowych. Nadal jednak Piotrkowska jest główną ulicą sklepów, instytucji, urzędów, jest universum urbis. Doświadczenie uczy, że sklepy przeniesione z Piotrkowskiej na inną ulicę przestają wyrabiać plan. „To największą w Łodzi troską, żeby Łódź całą przenieść na Piotrkowską" — pisał kiedyś o tym właśnie zjawisku znakomity Jan Sztaudynger. Fraszką jest dowcip na i jej dowcipu w niczym nie umniejsza fakt, że troską Łodzi jest właśnie coś wręcz odwrotnego. „Łódź to właściwie Piotrkowska i jeszcze kilka ulic, które się na niej nie zmieściły" — mówili swego czasu, i być może mówią nadal, dowcipnisie, którzy przy byli tuż po wojnie do „hotelu Łódź", by przeczekać parę lat, póki jako tako już zaawansowana odbudowa Warszawy nie pozwoli im na kupno powrotnego biletu, i nosa nie wytknęli poza kawiarnie Piotrkowskiej i dom „Czytelnika". Ten dowcip choć z pozoru niby taki sam i też brał na sztych niezwykłą uniwersalność tej ulicy, nie był dowcipny. W jego założeniu leżało mieszczańskie utożsamianie miasta ze śródmieściem i tkwiła podświadoma pogarda dla Łodzi robotniczej i jej udziału w historii.

Kiedy wkrótce po wojnie otoczono u nas niemałą troską zabytki dawnej architektury, style historyczne i utożsamiana z nimi secesja wyłączone były niejako spod prawa. Obciosywano ocalałe budynki, gładzono, zbijano sztukaterię, zrywano balkony, i powtarzano bez końca, jakie to nic nie warte, co jak wiadomo wcale nie przeszkadzało budować w podobnym stylu. Była w tym pewna prawidłowość: każda nowa epoka uczuloną jest antypatycznie na styl zastany. W efekcie tego zjawiska niszczono niegdyś, że wspomnę dla przykładu, niemodny gotyk i cywilizowano go na gwałt na nowoczesny... barok. W naszym powojennym wypadku, jak w czasie każdej społecznej rewolucji, w jej pierwszym okresie wzburzenia emocji, niechęć tę potęgowała dodatkowo antypatia dla formacji inwestorów owego budownictwa. Niemniej zjawisko zaczęło się w jakiejś mierze jeszcze przed wojną, od pierwszych urzeczeń kubizmem. Ostatecznie w wyniku wszystkich tych czynników, pogorzeli wojennej, a także zwykłego braku konserwacji fasad i sztukaterii — co zrozumiałe przy braku serca do tego typu architektury — ilość budynków w stylach historycznych, cóż dopiero zwartych zespołów architektonicznych, drastycznie zmalała i nie jest ich chyba, globalnie biorąc, wiele więcej w Polsce niż na przykład zabytków klasycyzmu kongresowego. Jeszcze przed rokiem, z okazji jubileuszu wielosetlecia Piotrkowa Trybunalskiego zburzono w tym mieście pół pryncypalnej ulicy Kaliskiej (obecnie Słowackiego), o takiej właśnie architekturze, by założyć skwer, nb. nieopodal umierających ostatnich drzew i krzewów dawnego parku miejskiego przy dworcu, pamiętającego jeszcze głośne manifestacje patriotyczne w 1861 r. Eklektyzm nie jest wielką epoką w architekturze, niemniej jest jednak epoką, ogniwem w nieskończonym łańcuchu historii sztuki i jako taki nie może podlec ostracyzmowi ze świadomości narodowej. Posiada swe analogie w plastyce tego okresu (np. Siemiradzki), w literaturze (parnasizm), w kostiumie, w życiu obyczajowym epoki zwycięskiego mieszczaństwa.

Pokutuje pogląd, że Łódź to miasto pozbawione zabytków architektury. Wyczuwa się coś w rodzaju pretensji do Jagiełły, że grzmotnąwszy pieczęcią majestatyczną w akt potwierdzający prawa miejskie osiedla nad Łódką zapomniał zafundować nam przy tej okazji jakiegoś tumu gotyckiego, zamku czy choćby bramy z broną. Mamy wciąż zawężone odczucie zabytku i jego wartości, tymczasem...

Ocalały od wojen i zabiegów unowocześniaczy zespół architektoniczny Piotrkowskiej (która bynajmniej nie monopolizuje budownictwa monumentalnego, rezydencjonalnego i historyczno-fabrycznego „ziemi obiecanej") stanowi dziś jedyny konsekwentny, zwarty, kompleks budownictwa jednej formacji, od rękodzielniczego zarania po jej kres. A więc — domki tkackie, białe budowle przemysłowe epoki pierwszych kominów, projektowana przez wybitnych w swoim czasie twórców architektura pałaco-

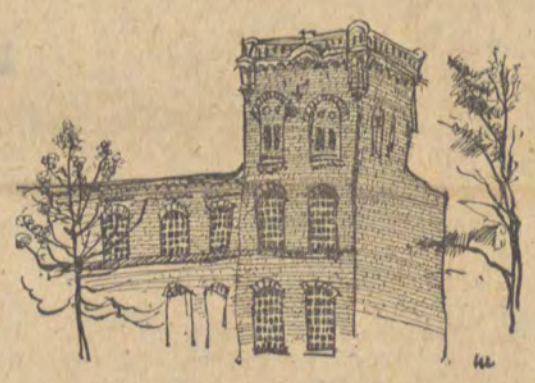

wa i mieszkalna ery kapitalizmu rozwiniętego i pierwszej wielkiej historycznej konfrontacji. Czas skończyć już, jak słusznie nawołuje Irena Popławska w pięknym szkicu **Hilary Majewski — budowniczy Łodzi przemysłowej** („Osnowa" — Wiosna, 1967) z zadufkowym, sprzecznym z rygorami widzenia historycznego, wzruszaniem ramion nad architekturą stylów historycznych, tak jak skończyliśmy wreszcie (niestety, dopiero na skinienie mody) wydziwiać na „zły smak secesji". Uważny spacer po tej siedmiowiorstowej (jak obliczyły strasznie dawne władze) ulicy potrafi lepiej nauczyć epoki kapitalizmu niż niejeden podręcznik. Piotrkowska jest wreszcie nie tylko miejscem, gdzie wszystko można dostać i wszystko załatwić, i nie tylko deptakiem młodych walkoni, cierpiących na tak niepojęte dla mnie dolegliwości, jak nuda i nadmiar nie dającego się wypełnić czasu, ale i polem wielkich bitew proletariatu z zaborem i kapitałem. Pola wielkich bitew mają to do siebie, że nagromadzona na nich ongi dynamika walki unosi się tam w jakiejś mierze nadal, by oddziaływać twórczo na potomnych. Szkoda, że o tych bitwach przechodniom i deptaczom nie przypomina na Piotrkowskiej, jak dotąd, żadna tablica.

Ojcowie miasta i działacze rozumieją wagę i wyjątkowość architektonicznego spadku „Kominogrodu". Wyrazem właściwego zrozumienia jest powołanie w ostatnich latach odrębnego dla Łodzi Urzędu Konserwatora Zabytków. Przedtem funkcje te pełnił, z natury rzeczy na marginesie swych bardzo rozległych zadań w regionie obejmującym wiele historycznych miejscowości i skarbów kultury narodowej, konserwator wojewódzki. Wyrazem tego zrozumienia było między innymi przejęcie Białej Fabryki Geyera od przemysłu i stworzenie w jej zadaptowanym i zrekonstruowanym wnętrzu jednego z pierwszych w Europie muzeów historii włókiennictwa. Jestem dumny i niech mi tę nieskromną dumę wybaczą tacy miłośnicy Łodzi, którzy chcieliby z miłości do miasta uczynić własne podwórko — że mam jakiś skromny udział w tych staraniach.

W 1959 roku partia i miasto podjęły pamiętną decyzję, bez precedensu naówczas i o dużym rezonansie ogólnopolskim — kompleksowego uporządkowania, remontu i odmalowania ulicy Piotrkowskiej na całej jej długości. Kiedy po wielu tygodniach zatarasowanych chodników i dojść do sklepów malarze odeszli i zdjęto rusztowania ze ścian pokrytych dotąd kilkudziesięcioletnimi pokładami pyłu i sadzy, zdumieni łodzianie i przybysze z zewnątrz ujrzeli naraz mijane dotąd obojętnie kamienice i pałace w ich dawnym bogactwie barw i plutokratycznej pysze. Odzwyczajone czy na odmiennej estetyce ułożone oczy zobaczyły atrapę przezwyciężonej historii. Jej architektura stała się na powrót w pełni czytelna, „zadowolony posiadacz pałaców, banków i brylantów" — wyrazistszy i pochwytniejszy dla wyobraźni, przede wszystkim zaś zostały bardziej jeszcze niż dotąd unaocznione rozmiary zwycięstwa. Okazało się też dla wszystkich wątpiących jasne, że Łódź posiada swoją własną, wcale niebanalną, o wybitnych wartościach historyczno-poznawczych specyfikę architektoniczną. Nic, że kolory po miesiącach i latach zaczynają spełzać, że tu i ówdzie czas, który nigdy i wobec niczego nie zdobywa się na tym najpiękniejszym ze światów na chwilowe bodaj désintéressement, nie przestaje kruszyć nadal ozdobnych balkonów. Przełom został dokonany. Podjęta raz decyzja nabrała mocy zobowiązującej również i na przyszłość.

Nie można, rzecz jasna, mumifikować żywej, jednej z najruchliwszych w Polsce, ulicy i czynić z niej na całej przestrzeni skansenu. Toteż wyburzenie ostatniej chałupki po Osadzie Sukienniczej na rogu Jaracza i wybudowanie dopasowanego do gabarytu ulicy SAM-u dla pań, domu „Magda", było posunięciem słusznym i koniecznym, choć z punktu widzenia historyczno-pietystycznego na pewno bolesnym. To samo — wejście nowego, dość wysokiego budownictwa na tereny między Główną a Brzezińską, zabudowane przeważnie parterówkami. Zbyt cenne są te tereny, prawie w centrum miasta, by utrzymywać na dłużej ma łownicze paradoksy z fabrykanckich czasów. Niemniej względy historyczno-poznawcze i względy potrzeb dnia dzisiejszego tej pryncypalnej, mieszkalnej, instytucjonalnej i handlowej ulicy wymagają zdrowego kompromisu. Kapitulacja zaś na pewno kompromisem nie jest. Jakiś maleńki zespolik kilku chałupek rękodzielniczych z czasów Rembielińskiego powinien w południowej części ulicy pozostać. Budownictwo na takim właśnie wybranym, małym odcinku mogłoby po trosze pójść... za przykładem „owych inwestorów fabrycznych z lat sześćdziesiątych-osiemdziesiątych, wejść na zaplecze, wbić się nagle nowymi murami spoza naczółkowych daszków stutrzydziestoletnich staruszek. Miejsca by wystarczyło, dla obu budynków, a i efekt prezentacji osiągnięć budowlanych, społecznych i komunalnych współczesności byłby nieporównanie wyższy. Upatrzone domki należałoby uporządkować, przywrócić im stan pierwotny,

*Rys. W. Kondek*

odtworzyć dawne wnętrza, urządzenie, wstawić ręczne warsztaty i przeznaczyć na ekspozycję. Oddane pod opiekę Muzeum Historii Włókiennictwa, stanowiłyby jego konieczne uzupełnienie.

WŁODZIMIERZ MITIN

## Nokturn łódzki

*Oto noc. Milkną resztki kroków.*
*Oto Łódź. Zanurzam się w mroku.*

*Miasto jak senny szary ptak*
*Mruganiem świateł daje znak.*

*I mruczy zegar o północy,*
*A ja, włóczęga — w jego mocy*

*Krążę, półślepy, pośród ulic.*
*Zaklęciom miasta muszę ulec.*

*Miasto jak senny szary ptak*
*Mruganiem świateł daje znak.*

*W „Simie" z melodią opętańczą*
*Spoceni ludzie tańczą, tańczą...*

*Więc biegnę. W dali kogut pieje.*
*Czuję jak miasto się starzeje.*

*Miasto jak senny szary ptak*
*Mruganiem świateł daje znak.*

## Żegnanie Łodzi

*Przy skwerze zamieć afiszowa.*
*Wśród chmur jesienny „Grand" się chowa.*
*Zaczekaj jeszcze — maszynisto,*
*Nie spiesz tak w drogę szarą, mglistą,*
*Niech spojrzę na to miasto miłe.*
*Snem ośnieżone. Polubiłem —*
*Choć jestem pierwszy raz tu gościem —*
*Sędziwy, sławny Plac Wolności...*

*Już na bezkresnych Moskwy placach*
*Pamięcią do Ratusza wracam,*
*Kupuję „Dziennik" na Piotrkowskiej.*
*Słyszę dziewczyny śmiech beztroski*
*I prośbę: wróć, nie czekaj lat,*
*Dam ci czerwonej róży kwiat.*

*Tłumaczył ROMAN GORZELSKI*

# Dyskusja przed V ZJAZDEM

Pozwólcie, że zacznę od fenomenu, który w 20-letnim powojennym rozwoju naszej prasy stanowi najcenniejszą i najwdzięczniejszą wartość — jest nią wielka liczebnie, chłonna i aktywna rzesza czytelników z wszystkich kręgów polskiego społeczeństwa. Cokolwiek by o prasie naszej można powiedzieć dobrego czy złego, jej zdobyczą i awansem bezspornym jest właśnie ów nieporównanie szerszy zasięg oddziaływania, ta zwiększająca się niebywale szybko liczba rąk sięgających po gazetę, to codzienne zjawisko wykupywania dzienników i czasopism niemal do ostatniego egzemplarza.

Nie tu miejsce na szczegółową dokumentację, więc tylko kilka liczb, może nie wszystkim znanych. Średni nakład naszego wielce poczytnego „Głosu Robotniczego" wynosi 240 tys. egz. dziennie, zaś w soboty przekracza 400 tys., „Dziennik Łódzki" i „Express Ilustrowany" opuszczają maszyny rotacyjne w nakładzie po ok. 100 tys. egz. Czasopismo satyryczne „Karuzela" znika z kiosków w ciągu kilku godzin w nakładzie 420 tys. egzemplarzy.

Tu przypomnieć warto, że najpopularniejszy przed wojną ogólnopolski tygodnik kulturalny „Wiadomości Literackie" oznajmiał z dumą nadrukiem na pierwszej stronie: „Dziś nakład 12 tysięcy". I to były wówczas rekordy poczytności. Dzisiaj w identycznym nakładzie dostarczany jest do rąk odbiorców łódzki tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" i nikogo to absolutnie nie dziwi. Dodajmy, że również nakłady przedwojennej prasy codziennej wychodzącej w Łodzi, choć w owych czasach oceniane jako wysokie, były wielokrotnie niższe. Obecnie też troska Łódzkiego Wydawnictwa RSW „Prasa" i redakcji nie na tym się koncentruje, żeby szukać czytelników, lecz żeby Wysoka Komisja Planowania więcej papieru przydzielała prasie wobec stale i nieprzerwanie rosnących potrzeb.

Ale nie tylko wielkie liczby charakteryzują przecież czytelników naszej prasy. Tym, co w redakcjach cenimy sobie szczególnie i co stanowi również znamię przemian społecznych w Polsce, jest aktywność odbiorców prasy. Wielu naszych czytelników uważa — i słusznie — że ma prawo nie tylko czytać swój dziennik czy tygodnik, ale także wpływać na jego redagowanie, wypowiada swój sąd o publikowanych artykułach, podsuwa tematy, bierze chętnie udział w organizowanych przez redakcję ankietach. Dzięki tej charakteryzującej socjalistyczną prasę polską więzi z czytelnikami uzyskujemy, my dziennikarze, szersze i głębsze, niż własne oczy pozwalają, wejrzenie w życie kraju i potrzeby społeczne.

Nasz czytelnik jest też coraz bardziej wymagający, nie zadowala się byle czym, stawia przed prasą stale nowe i z każdym rokiem trudniejsze zadania. Z jednej strony żąda on szybkiej, wyczerpującej i obszernej informacji, trafnego komentarza, z drugiej — domaga się wnikliwszego spojrzenia na kluczowe problemy rzeczywistości krajowej, na wszystkie skomplikowane sprawy współczesnego świata. Nie jesteśmy zadufkami i — choć zdajemy sobie sprawę, jak poważną rolę odgrywamy w kształtowaniu świadomości socjalistycznej naszych obywateli — wiemy dobrze, że zarówno nasi czytelnicy w górnych rejonach władzy, jak i miliony codziennych odbiorców mają do prasy niemało pretensji i oczekują od niej i więcej, i lepiej, i szybciej.

Mamy już za sobą okres drętwej mowy, sloganiarstwa i cytatologii, choć niebezpieczeństwo prymityzowania pewnych zjawisk nadal istnieje. Co byśmy jednak nie powiedzieli w tej sprawie, należy podkreślić, iż przemiany dokonane w naszej prasie, aczkolwiek dalekie jeszcze od ideału, są olbrzymie i należy je cenić. Godny uwagi jest postęp, jeśli chodzi o wiedzę, o znajomość rzeczy, o kompetencje dziennikarzy w zakresie podejmowanej przez nich problematyki. Dokonane w redakcjach i w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich wysiłki, aby podwyższyć kwalifikacje redaktorów i publicystów — przyniosły ze wszech miar pozytywne rezultaty. Mamy liczne zastępy dziennikarzy, których stać na podejmowanie skomplikowanych i ważnych problemów ekonomicznych. Mamy mądrą kadrę publicystów i komentatorów w kręgu zagadnień międzynarodowych. Mamy doświadczonych specjalistów działających na rzecz upowszechnienia twórczości kulturalnej i naukowej. Głębiej niż dawniej sięgają pióra dziennikarzy penetrujących zagadnienia społeczne i obyczajowe.

Cieszy nas również, że z biegiem lat dopracowaliśmy się w Łodzi nowego typu dziennikarza, dziennikarza-działacza, aktywisty. Przeszło 90 proc. ogółu łódzkich dziennikarzy działa społecznie w instancjach partyjnych, radach narodowych, organizacjach młodzieżowych i innych. Ta pozycja działacza ideowo zaangażowanego ułatwia dziennikarzowi pracę, wyostrza jego pióro na przejawy zła, chroni od błędów, wiąże silniej z życiem, z ludźmi, dla których piszemy. To niezmiernie pomaga i podbudowuje autorytet dziennikarza. Biorąc pod uwagę te względy, szukamy nadal możliwości pomnażania dotychczasowych doświadczeń, wzbogacania metod i form działania i oddziaływania, stwarzania warunków dla nowych inicjatyw społecznych.

Ktoś powiedział, że — dziennikarz jest istotą nieznaną. Pisząc bowiem o ludzkich troskach i radościach sami pozostajemy w cieniu i — nie obnosimy się publicznie z własnymi kłopotami. Niech mi moi Koledzy po piórze wybaczą, że tym razem odstąpię od zasady i ponarzekam trochę pro domo sua. A więc — po pierwsze — wspomniany już wyżej brak papieru, wynikający z trudności obiektywnych, co uniemożliwia zwiększenie objętości naszych gazet i pism. Wydaje mi się, że najgorszym, najbardziej niepokojącym skutkiem tego stanu jest marnotrawstwo sił utalentowanych publicystów i reportażystów, którzy w tych warunkach nie mogą w pełni wyzwolić z siebie wszystkich możliwości, na jakie ich przecież stać. Powstaje — zwłaszcza u młodych dziennikarzy — uczucie niedosytu, uczucie niespełnionych marzeń, zawiedzionych ambicji. Od tego niepokojącego stanu tylko krok do redakcyjnej „małej stabilizacji".

W tej sytuacji rodzą się nieraz pomysły „nie z tej ziemi", jak na przykład ten, by wraz z naukowcami z Warszawskiego Zakładu Elektronicznej Techniki Obliczeniowej ustalić przy pomocy maszyny matematycznej właściwe proporcje w układzie numeru pisma, tak aby móc pogodzić potrzeby redakcji z wymaganiami czytelników; dziennikarzy w słowach następujących:

— Piszcie towarzysze, my się krytyki nie boimy...

Nie mógł pojąć, dlaczego to cała sala gruchnęła huraganowym śmiechem. Wypowiedział te słowa w najlepszych intencjach, jest bowiem rzeczywiście jednym z tych gospodarzy przedsiębiorstw, gdzie dziennikarz nie jest jeszcze intruzem, szukającym — rzekomo — dziury w całym.

Jeden z moich byłych szefów zwykł mawiać: „Czy zamiast napisać, że Kowalski jest świnia, nie mógłbyś: — zdarza się czasami, że niekiedy, tu i ówdzie, niejeden jeszcze obywatel K. (nazwisko i adres znane redakcji) popełnia itd." No pewnie, że i tak można! Tylko to już przestaje być twórczą krytyką, a zaczyna być literaturą gazetową, złą bo — nijaką, nikomu nie wadzącą, ciepłą, bo nic i niczego nigdy nie załatwia.

Pewien obrażony na prasę naukowiec oświadczył w rozmowie ze mną: „Komu potrzebny ten szkodliwy (czyt. „krytyczny") artykuł? Chcemy mieć święty spokój — jest czas pracy mózgów elektronowych i suwaków logarytmicznych".

Chłód matematyczny jest wrogiem dobrej propagandy. Żadna „Odra — 1007" nie potrafi przewidzieć czym jutro będzie musiała się zająć prasa. W kraju młodej formacji społeczno-ekonomicznej, który w dodatku egzystuje w tak bardzo złożonym świecie, musi istnieć i działać kadra głęboko zaangażowanych, bezkompromisowych, prawych dziennikarzy. Są to ludzie, którzy świadomie wyrazili zgodę na samospalanie się. (Obliczono niedawno, że ludzie trzech zawodów najliczniej chorują na nerwice i zapaści psychiczne: lotnicy, nurkowie i dziennikarze. Z tym, że i tutaj na pierwszym miejscu znaleźli się... dziennikarze. Tylko jeden na dwudziestu dożywa wieku emerytalnego!)

Tak więc wokół spraw krytyki narosło na przestrzeni lat wiele nieporozumień, które trzeba sobie wzajemnie wyjaśniać, bez uprzedzeń i dąsów. My, dziennikarze — co pragnę mocno podkreślić — szczerze i z pełnym przekonaniem uznaliśmy za własne stanowisko Partii, która domagając się wszechstronnej i ideowo zaangażowanej krytyki wszystkich przejawów zła w życiu społecznym czy gospodarczym, żąda jednocześnie, aby krytyka ta była rzetelna, gruntownie udokumentowana, pragnąca pomagać w tworzeniu nowych wartości.

**WOJCIECH DRYGAS**

**DZIŚ PUBLIKUJEMY KOLEJNĄ WYPOWIEDŹ W PRZEDZJAZDOWEJ DYSKUSJI PRZEDSTAWICIELA ŚRODOWISKA DZIENNIKARSKIEGO W ŁODZI — WOJCIECHA DRYGASA.**

# Półka z książkami

## POWIEŚĆ SENSACYJNA

Oto historia, mrożąca krew w żyłach: starsza pani, Walentyna Besson, która od lat dwudziestu ma trudności z zasypianiem, zażywa przed pójściem do łóżka pewne lekarstwo w płynie. Ale w dniu, w którym rozpoczyna się akcja powieści, po zażyciu paru kropel, lekarstwo wydało jej się nazbyt gorzkie i oddała je służącej Róży. W nocy obudziły starszą panią jęki. To służąca Róża wiła się w mękach i wkrótce umarła. Szklanka z lekarstwem stała na stoliku przy jej łóżku. A więc Róża wypiła je i otruła się przypadkowo, bo przecież jest jasne, że trucizna przeznaczona była dla pani Walentyny Besson. A może jednak nie dla niej, może dla kogo innego. W takim razie dla kogo? Na arenę wkracza komisarz policji, Maigret, aby w końcu wszystko wyjaśnić. Oczywiście nie mogę powiedzieć Czytelnikom, kto zawinił i jak się rzecz cała skończyła, bo wtedy straciliby, być może, ochotę do lektury, znając zawczasu rozwiązanie. W każdym razie w trakcie lektury przybywa jeszcze jeden trup. Powieść Simenona czyta się ze zrozumiałym zaciekawieniem. Napisana z niezbędnym dla tego rodzaju utworów napięciem, jest dostatecznie zajmująca, aby nas zainteresować. Odznacza się płynną narracją, stopniowaniem efektów, zagęszczeniem a potem rozjaśnieniem przebiegu wydarzeń.

Powieść Simenona należy zaliczyć do tego rodzaju utworów sensacyjnych, które nie pozbawione są tzw. walorów literackich, czyli mówiąc zwyczajnie i po prostu: nie jest to szmira i przeczytać ją warto.

jk.

Georges Simenon: „Maigret i starsza pani", przełożył Roman Chrzęstowski, Czytelnik, Warszawa 1968, str. 187

## WARNEŃCZYK

Sympatycy beletrystyki historycznej z zadowoleniem powitają nową powieść Włodzimierza Barta pt. „Warneńczyk"; powitają ją tym życzliwiej, że tematycznie wiąże się ona z wydanymi wcześniej „Grunwaldzkimi mieczami" tego samego autora.

Dzieje Polski po śmierci Władysława Jagiełły są szczególnie wdzięcznym tematem dla pisarza. Jest to okres, w którym ważyły się przyszłe losy kraju, pełno tu zaułków i niebezpiecznych zakrętów historii. Koronacja dziesięcioletniego syna Jagiełły i faktyczne przejście władzy w ręce biskupa Oleśnickiego zniszczyły dotychczasową równowagę polityczną stanów, możnowładcy zatriumfowali nad królem. Opozycja szlachecka pozostająca pod wpływami husytów została brutalnie zdławiona — niedawni bohaterowie Grunwaldu zostaną uznani za zdrajców i poniosą śmierć z ręki możnowładców.

Sytuacja wewnętrzna kraju wiąże się dość ściśle z wydarzeniami w całej Europie, której zagraża turecki zalew — świat chrześcijański jest zaś rozbity potęgującymi się sprzecznościami. Sobór walczy z papieżem i demonstrując swoją niezależność od głowy kościoła obiera antypapieża.

W takich to warunkach szesnastoletniemu Władysławowi Warneńczykowi przychodzi objąć tron węgierski w kraju objętym wojną domową. Polsce zresztą także zagraża bratobójcza walka. Wysyłając młodziutkiego króla do Siedmiogrodu Oleśnicki może w dalszym ciągu bezprawnie sprawować regencję. Jego ambicje, nie mające nic wspólnego z racją stanu Polski, podkopują finanse kraju, spowoduje zamęt na Litwie i wzmocnią Krzyżaków, zaś młodziutkiego króla Polski i Węgier wydadzą na śmierć z rąk tureckich.

Bart korzysta z najnowszych badań naukowych prostując niektóre rozpowszechnione mity, adaptuje dla potrzeb beletrystycznych źródła historyczne i z tych względów książka jego spełni pewne funkcje popularyzatorskie, choć artystycznie jest raczej niewypałem. Tło historyczne jest w niej ledwie naszkicowane, mechanizmy społeczne zamarkowane, zaś postać Warneńczyka (o pobrzękuje żelaznym pancerzem, to znów szeleści papierem.

K.F.

Włodzimierz Bart: „Warneńczyk", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1968, str. 291, cena zł 19

# Bez strachu

## OKOLICZNOŚCI ŁAGODZĄCE

Kiedy przed laty bardzo zawiniłem wobec kolegi i ten chciał mnie obić, powiedziano mu: „Czy chcesz popełnić morderstwo — to człowiek ciężko chory na serce!" Istotnie zrobiono mi wtedy elektrokardiogram i orzeczono, że niewiele mi już dni pozostało. Skrzywdzony kolega wyrzekł się zemsty i dawał mi liczne dowody życzliwości — tak bowiem przystało postępować wobec człowieka stojącego nad grobem. Otóż po pewnym czasie okazało się, że elektrokardiogram został błędnie odczytany, a ja jestem człowiekiem wyjątkowo mocnego serca. Przed laty, kiedy dużo piłem, paliłem, byłem znanym uwodzicielem pobłażano mi w wielu sprawach, mówiono: „Co — tego brać poważnie, ależ to pijaczyna, człowiek wykolejony — postać z kart Dostojewskiego — on przecież egzystuje na specjalnych prawach..." Otóż od wielu lat nie piję, nie palę i uprawiam skrajną ascezę — niekiedy słyszę o sobie: „Cóż, gniewacie się, że dogryzł wam ten dziwak stroniący od alkoholu, od kobiet i uprawiający podejrzaną mistykę, ależ to postać z kart Bagawadgity — on przecież egzystuje na specjalnych prawach..." Niegdyś odrzucano z pogardą moje teksty. Znoszono wtedy z anielską cierpliwością moją wyrafinowaną złośliwość — bo jakże inaczej traktować biedaka, którego nikt nie chce drukować?! Dzisiaj, kiedy redaktorzy z oskomą chwytają każdą moją pracę i wypłacają mi olbrzymie honoraria, wiele mi uchodzi, gdyż człowiek o podobnych możliwościach może niejednego opisać, zabić w nim człowieka, zniszczyć w kategoriach społecznych, biologicznych, kulturowych, moralnych i metafizycznych... Okolicznością łagodzącą byłoby moje uporczywe milczenie i przewlekłe gadulstwo, duża wiedza i ignorancja, energia i bezradność. Żyją i inni, żyją w pułkierzu okoliczności łagodzących ponieważ ludzie często nie kontaktują się ze sobą, lecz z dowolnymi wyobrażeniami, które nawzajem o sobie wytwarzają. Oto siedzę i piszę, a tam gdzieś ktoś wadzi się lub godzi z moim upiorem, którego poi substancją własnych myśli i uczuć, a następnie błędnie utożsamia ze mną. Potem człowiek ów zdziwi się, kiedy spotka mnie rzeczywistego i stwierdzi brak tożsamości z moim manekinem, którego sam zbudował i nakręcił. Chciałbym wejść kiedyś do magazynu ucieleśnionych wyobrażeń mojej osoby i dokonać remanentu tych egzotycznych figur. Wydaje się, że powinienem polubić te postacie, bo przecież to dzięki temu, że taki czy inny manekin stał między X-em czy Y-em, a mną, X czy Y mi pobłażał. Nieprawda! Nieprawda! Pobłażał nie mnie, ale nakręconym moim maskietkom, mnie nigdy nie znał — bo nigdy nawet nie widział, nie chciał zobaczyć... Chciał zobaczyć diabełka, albo aniołka o moich rysach, chciał siebie utwierdzić — bo po co mnie poznać kiedy może mnie stworzyć... Ja jestem tylko jego dziełem, pozbawiony godności samoistnego bytowania, według potrzeb kreatora dobry i zły, mądry i głupi, a nade wszystko nieodpowiedzialny przecież istniejący tylko w zależności od kreatora, a więc pragnąc mnie obwinić, obwini wreszcie sam siebie — dla czego mianowicie zbudował podobną zabawkę?! Ja jednak naprawdę żyję i między innymi piszę, aby wskazać sposoby uprzątnięcia rupieci stojących między ludźmi tak, aby mogli współżyć literalnie bez uwłaczających okoliczności łagodzących.

BERNARD SZTAJNERT

TERESA WOJCIECHOWSKA

Muzyka w Łodzi

# INAUGURACJE

Sezon rozpoczęty. Do zmagań o sukcesy artystyczne przystąpiły wszystkie placówki muzyczne miasta. A także parę tysięcy młodzieży w szkołach muzycznych, w których rosną geniusze, talenty, dobrzy rzemieślnicy, a w najgorszym wypadku (co też nie jest takie złe) wrażliwi, znający się na muzyce odbiorcy sztuki swych bardziej utalentowanych kolegów. Ale na życie muzyczne miasta będą oni mieli wpływ za ileś tam lat, na razie niech się pilnie uczą. I słuchają. Bo sezon się zaczął i jest czego słuchać.

Zaczęła Filharmonia koncertem inauguracyjnym, który był nieco inny niż planowano, ale tylko z powodu osoby dyrygenta. Tegoroczną inaugurację miał uświetnić Carlo Zecchi, który ostatecznie zawiadomił, że nie przyjedzie. Przy pulpicie cncac — nie chcąc stanąć musiał Arkadiusz Basztoń i poprowadzić program wybrany przez Zecchiego. Wszelkie dyskusje na temat: dlaczego właśnie taki repertuar, a nie inny, odpadają. Stąd wniosek ogólny, że najlepiej inaugurować własnymi siłami, wówczas nie ma kłopotliwych niespodzianek.

A swoją drogą często jakoś słyszy się ostatnio, że nie doszły do skutku zaplanowane koncerty, czy wystawy, że nie przyjechał artysta, że zerwano umowę. Na przykład Eurowizja nie transmitowała Festiwalu Sopockiego, choć było to ustalone. Interesuje mnie bardzo, czy zrywający umowę ponoszą za to jakąś odpowiedzialność materialną tak, jak jest to praktykowane za granicą. Czy też zrywają sobie całkowicie bezkarnie. Niestety, w Łodzi nikt nie umie mi odpowiedzieć na to pytanie, albowiem większość tych umów zawierana jest centralnie, poprzez Pagart i tylko on wie. Placówka bezpośrednio zainteresowana, w tym wypadku Filharmonia Łódzka, jest tylko ofiarą zamieszania spowodowanego przez nie przybycie artysty.

* * *

Podobno odbyła się również oficjalna premiera „Hrabiny Maricy" w Teatrze Muzycznym. Piszę „podobno", bo dyrekcja teatru obraziła się na niektóre redakcje i nie przysyła im zaproszeń na premiery prasowe. Ściślej mówiąc nie przysyła krytykom piszącym o przedstawieniu. Dyrekcja obraziła się już na dwie redakcje (w tym i na naszą), a ponieważ w Łodzi są tylko cztery redakcje, więc jak dalej tak pójdzie, to na premierach prasowych będą wszyscy oprócz prasy. Powody do obrazy są zresztą całkiem uzasadnione. Recenzentka jednego z dzienników pozwoliła sobie na przykład napisać kiedyś, że inaczej wyobrażałaby sobie obsadę jednej z operetek. I napisała jak sobie wyobraża. Biada jej, recenzent nie jest od tego, żeby sobie wyobrażał, recenzent jest od tego, żeby mu się podobało.

Moda na obrażanie zatacza zresztą coraz szersze kręgi i przeszła już nawet na artystów-amatorów. Pewien taki artysta-plastyk-amator obraził się na artystę-plastyka-zawodowca, że ten skrytykował wybudowany przez niego dom i wniósł sprawę o zniesławienie do sądu. Oczywiście nie za krytykę architektury, tylko za plotkę, że dom — wybudowano za pieniądze otrzymane w spadku z Ameryki, kiedy tymczasem dom został wybudowany z pracy rąk własnych. I teraz oto Sąd PRL będzie musiał zadecydować na — zapewne — szeregu kolejnych rozprawach, czy zarzut otrzymania spadku z Ameryki jest dla obywatela PRL zniesławieniem czy też nie. Oczywiście z prawnego punktu widzenia.

* * *

Ale do rzeczy, ja też chcę napisać, że mi się podobało. Jeszcze jedno otwarcie sezonu — premiera opery „Così fan tutte" Mozarta w Teatrze Wielkim. Prawdziwa radość dla oka i ucha. Jeśli ktoś chce na dwie i pół godziny przenieść się w tak nierealny, że prawie bajeczny świat, nasycić uszy piękną muzyką Mozarta, a oczy pięknymi barwami, uroczymi, pogodnymi dekoracjami i prześlicznymi kostiumami i pobawić się przy tym — niech idzie to przedstawienie zobaczyć. Dziś, po przeszło 170-letnim żywocie tej kameralnej naiwnej historyjki o próbie wierności (libretto: Lorenzo da Ponte), nad którą współcześni Mozart szkoła i świetna próba umiejętności, dojrzałości muzycznej i wokalnej.

Łódzkie przedstawienie jest przygotowane z wielką starannością, precyzją, żeby nie rzec z pietyzmem. Przygotowanie muzyczne orkiestry i solistów świadczy nie tylko o wielkim doświadczeniu, ale także chyba o wielkim upodobaniu do muzyki mozartowskiej dr **Zygmunta Latoszewskiego**. Scenograf **Marian Stańczak** dobrze jest nam znany z talentu komponowania pięknych kolorystycznych całości, podkreślania nastroju barwą, gamą barw. Pamiętamy jeszcze jego dekoracje i kostiumy do „Kniazia Igora", w „Così fan tutte" wprowadził nas do teatru barokowego, jasnego, pogodnego, radosnego. Urocze są jego dekoracje, dworskie, wytworne, naiwne i śliczne. Wyobrażam sobie, że dla artystek radością jest noszenie sukien jego projektu.

Reżyseria **Krystyny Sznerr** nie idzie w kierunku upraw dopodobnienia akcji. Ma się bawić widownia, mają się bawić wykonawcy. W dwóch obsadach, które pokazano: pierwszej i drugiej (wiem, że dyrekcje uważają zawsze obie obsady premierowe za równo rzędne, ale kolejność premier jest faktem) pierwsza bawi się lepiej, a z nią publiczność, z większym dystansem i przymrużeniem oka traktuje przygody swych bohaterów, mocniej też chyba tkwi w stylu muzyki mozartowskiej. **Delfina Ambroziak (Fiordiligi) i Alicja Borkowska-Pawlak** (Dorabella), **Tadeusz Kopacki** (Ferrando) i **Romuald Spychalski** (Gugliemo), **Zdzisław Krzywicki** (Don Alfonso) i **Izabella Binek-Nawe** (Despina) tworzą bardzo zgrany i pięknie brzmiący sekstet, prezentując bardzo wysoką klasę wokalną zarówno w partiach solowych jak i kameralnych. Dzięki doskonałej dykcji wykonawców nie ginie ani jedno słowo tekstu.

Druga obsada, również przygotowana bardzo starannie i prezentująca wysoki poziom wykonawczy, jest może nieco mniej szczęśliwie zestawiona. Chwilami słabo słychać piękny barwton **Krzysztofa Hartwiga** (Gugliemo) na tle **Romana Werlińskiego** (Ferrando), słabo słychać **Izabellę Strzałkowską**, która ciągle ma kłopoty z dykcją na tle **Teresy**

Fot. Lucjan Janczak

**Maj-Czyżowskiej** (Fiordiligi). Obydwie panie, a szczególnie Izabella Strzałkowska, bardziej dramatycznie potraktowały swe role. Teresa Maj-Czyżowska śpiewa jednak tak pięknie, że można jej wszystko darować. **Ewelina Kwaśniewska** (Despina) i **Stanisław Heimberger** (Don Alfonso) najlepiej może uchwycili styl opery, wydaje się jednak, że baryton Stanisława Heimbergera brzmi trochę zbyt jasno w partii basowej. Prędzej mi jednak pióro uschnie, niż powiem kogo bym w tej partii słyszała, choć Teatr Wielki jakoś się na nikogo nie obraża. Gdybym się jeszcze nie bała, że obrażą się na mnie jego solistki-wokalistki, to z przestrachem zauważyłabym, że już pięć używa podwójnych nazwisk co dla ludzi sceny jest raczej niepraktyczne. Co będzie dalej, w miarę rozwoju życia osobistego pozostałych czternastu? Przy oszczędności papieru nakazanej recenzentom, jest to zjawisko niepokojące.

TP Obiektyw

# Lot w ciemność

W swoich felietonach telewizyjnych wielokrotnie już zastanawiałem się nad sprawami przekładania prozy powieściowej na kształt widowiska TV. Nie należę do wrogów takich przedsięwzięć (Sam mam w tym zakresie co nieco na sumieniu). Uważam, że w wypadku gdy chodzi o dobra literaturę, telewizja może odegrać znakomicie rolę propagatora.

Bo pomyślmy tylko! Powieści nawet dobrej marki ukazują się u nas w ograniczonych nakładach. W poważnej mierze decyduje o tym chłonność rynku. Jeżeli więc książka ma kilka nakładów i rozejdzie się w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy, to w najlepszym razie przeczyta ją kilkaset tysięcy ludzi i to w ciągu dłuższego okresu czasu. A jednorazową widownię spektaklu telewizyjnego oblicza się u nas na około 9 milionów osób.

Z tego zestawienia dwóch rzędów wielkości wynika, że telewizja spełnić może wobec literatury ważną funkcję upowszechniającą, co z punktu widzenia naszej polityki kulturalnej ma niemałe znaczenie. Trzeba jednak pamiętać o tym, by dzieło literackie nie wyszło z tej telewizyjnej przygody zbyt okaleczone, by adaptacja nie uroniła podstawowych jego wartości. Prowadziłoby to bowiem do pewnego oszustwa w stosunku do widza, który oryginału literackiego nie zna i wierzy telewizji na słowo, że mu go rzetelnie przekazuje.

Nadużycie zaufania widza może mieć miejsce w dwóch wypadkach. Gdy adaptacja dokonana jest wadliwie, nieudolnie, lub gdy wartości artystyczne i ideowe oryginału tkwią tak bez reszty w warstwach literacko-opisowych, że przełożenie na język obrazów źle służy ich przekazaniu, zubaża je, spłyca.

Oglądając nadane przez TV Katowice widowisko „Kurier do Europy" (13. IX.), będące przeróbką głośnej powieści Antoine'a de Saint-Exupéry'ego „Nocny lot" (adaptacja — J. Zieliński, reżyseria — J. Surdel), zastanawiałem się nad przyczynami artystycznej porażki, z jaką niewątpliwie mieliśmy do czynienia. Aby dokładniej rzecz ocenić, przeczytałem powieść na nowo.

Nie wziąłem na siebie przykrego obowiązku. „Nocny lot" jest jedną z najbardziej uroczych lektur, jakie można sobie wyobrazić. Jest to powieść poetycka, ale bez cienia maniery. Wzruszająca, ale nie ckliwa. Filozoficzna, ale nie mentorska. Obfitująca w mocne wrażenia, ale nie brutalna.

Pilot Fabien, który wystartował z lotniska Commodoro Rivadavia w Patagonii, by odbyć nocny lot pocztowy na przestrzeni 2.500 kilometrów, jakie dzieli Cieśninę Magellana od Buenos Aires, wkracza w inny świat, w inny wymiar spraw. Widoczne z góry światełka osiedli wyznaczają dystans, jaki uzyskuje lotnik w stosunku do ludzkiej codzienności. Jeszcze niedawno tkwił w tej samej skali spraw, za parę godzin ma nadzieję do niej powrócić. Ale w ciągu tych paru godzin przestają go obowiązywać prawa rządzące tam, na ziemi. Jedynym imperatywem są dla niego przyrządy nawigacyjne i własne oczy wpatrzone w noc na razie pogodną, ale w której burze zagnieździły się „jak robaki w owocu".

Dyrektor Riviére — drugi z bohaterów „Nocnego lotu". W swoim gabinecie na lotnisku w Buenos Aires towarzyszy przez całą noc walce Fabiena z cyklonem. Nie może mu pomóc. „Mój zawód — mówi sam do siebie — to obsługiwanie zdarzeń". Pozornie człowiek zimny i niewyrozumiały, ale jest jak kapłan odprawiający nabożeństwo przed ołtarzem bóstwa, które nazywa się ludzkim obowiązkiem. Gdy Fabien z rozpaczą w sercu zapada się wraz z maszyną w ciemność, która jak nie oświetlony korytarz prowadzi ku nieuchronnej śmierci, Riviére przeżywa swoją tragedię. Mniej patetyczną i pozornie mniejszej wagi. Tylko pozornie. Bo to on udźwignąć musi odpowiedzialność za śmierć Fabiena i jego radiotelegrafisty.

Żona Fabiena. Pojawia się na lotnisku zaniepokojona opóźnieniem w przylocie męża. Widzi spłoszone, jakby niechętne spojrzenia urzędników. Czuje, że jest „w tym środowisku uosobieniem jakiejś obcej, wrogiej prawdy". Prawdy, która technicznemu funkcjonowaniu personelu linii lotniczej przeciwstawia maleńkie ciepło rodzinnego domu. Tak jakby żona Fabiena domagała się od tych ludzi zwrotu męża, znajdującego się we władaniu żywiołu...

Nie sposób na paru stronach maszynopisu wydobyć części nawet przebogatych treści, jakimi nasączony jest „Nocny lot". Lektura powieści była dla mnie w każdym razie antidotum na niedosyt i zawód, jaki sprawiło mi widowisko katowickie. Parę zdań monologu „wewnętrznego" Riviéra nie wydobyło złożonego sensu tej postaci. Sceny w makiecie samolotu były żałosną karykaturą męskiej, pięknej walki Fabiena z cyklonem. W dodatku źle wymieszany z efektami burzy dialog Fabiena i telegrafisty był niemal całkowicie niezrozumiały.

Uważam, że w omawianym wypadku telewizja źle się przysłużyła literaturze. Trzeba bezmiernej wyrozumiałości, by dopatrzeć się w „Kurierze do Europy" śladów piękna, jakie bez reszty panuje w powieści Saint-Exupéry'ego. To był lot w ciemność, ale nie „Nocny lot". Chyba zadanie po prostu przerosło realizatorów.

Zdzisław Brownij

## Spektakle tygodnia

TEATRY

| | spektakle | widzów | proc. |
|---|---|---|---|
| WIELKI — | | | |
| „Pan Twardowski" | 1 | 950 | 75 |
| „Zemsta nietoperza" | 1 | 1260 | 100 |
| „Książę Igor" | 1 | 1260 | 100 |
| „Straszny Dwór" | 1 | 1100 | 90 |
| „Dama pikowa" | 1 | 1010 | 80 |
| „Così Fan Tutte" | 1 | 1200 | 95 |
| NOWY — | | | |
| „Lato" | 2 | 700 | 50 |
| „Pierścień wielkiej damy" | 1 | 350 | 50 |
| „Czerwone pantofelki" | 1 | 600 | 90 |
| NOWY — | | | |
| Mała Sala | | | |
| „Gra miłości i przypadku" | 5 | 700 | 70 |
| POWSZECHNY — | | | |
| „Kawior i kaszanka" | 2 | 980 | 80 |
| „Szelmostwa Skapena" | 4 | 2000 | 82 |
| JARACZA — | | | |
| scena Teatru | | | |
| Rozmaitości | | | |
| „Dobrze skrojony frak" | 5 | 2115 | 67 |
| 7.15 — | | | |
| „Zajączek Zorro" | 2 | 844 | 100 |
| „Bliźniak" | 4 | 1412 | 84 |
| TZŁ — | | | |
| „Okoliczność łagodząca" | 6 | 1318 | 76 |
| OPERETKA — | | | |
| „Hrabina Marica" | 6 | 5800 | 90 |
| FILHARMONIA | | | |
| 2 koncerty symfoniczne | | 1310 | 95 |

# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

### CYWILIZACJA MAJÓW

■ Majowie, Indianie grupy językowej mayakicze żyjący na Jukatanie, w południowo - wschodnim Meksyku, Gwatemali i Hondurasie stworzyli w wiekach V—XV wysoką kulturę, przejętą następnie przez Azteków.

W związku z odbywającą się w paryskim Grand Palais wystawą sztuki Majów, tygodnik „l'Humanite Dimanche" zamieszcza wywiad swego przedstawiciela z profesorem Jaime Diaz Rozzotto, który jest wybitnym znawcą cywilizacji Majów. Najstarsze zabytki archeologiczne odnoszące się do kultury Majów pochodzą — jak twierdzi prof. Rozzotto —

*Człowiek siedzący na ziemi z wielkim dzbanem na plecach (Terakota).*

z ok. trzech tysięcy lat przed naszą erą, a odkryte zostały w południowowschodniej Gwatemali. Kraj ten był najprawdopodobniej kolebką Majów i ich cywilizacji.

Podstawą cywilizacji Majów była uprawa kukurydzy. Fakt ten wpłynął przemożnie na stosunki socjalne i przyczynił się do wspaniałego rozwoju niektórych dziedzin wiedzy. Była to cywilizacja bardzo specyficzna. Majowie, których głównym zajęciem była uprawa kukurydzy interesowali się meteorologią, chcąc przewidywać okresy suszy i deszczu. Obserwacja nieba doprowadziła ich do znajomości ruchów gwiazd i planet. Z wiedzą astronomiczną łączyło się zainteresowanie matematyką, ta zaś z kolei pozwalała im na znaczne osiągnięcia architektoniczne. Majowie potrafili wznosić olbrzymie piramidy, sięgające do 73 m wysokości. Na szczytach piramid urządzali obserwatoria astronomiczne, choć nie mieli lunet i nie znali szkła. Obserwacje odbywały się jedynie gołym okiem. Przyjąwszy za podstawę system dwudziestkowy, znając i posługując się przy obliczeniach cyfrą zero, Majowie potrafili ułożyć prawidłowy kalendarz.

Przez długi czas uczeni zastanawiali się czemu Majowie opuszczali w pewnych okresach swe miasta, liczące od 5 do 100 tys. mieszkańców, i udawali się na inne tereny, by wznosić tam nowe osiedla. Na te migracje wpływało wyjałowienie ziemi. W poszukiwaniu żyźniejszych terenów dla uprawy kukurydzy opuszczano stare domostwa i przenoszono się gdzie indziej.

### ŚMIERĆ FLAMANDZKIEGO PISARZA

■ W wieku lat 83 zmarł w Brukseli flamandzki pisarz Ernest Claes.

Urodził się w 1885 r. w rodzinie rolnika. Ukończył filologię na uniwersytecie w Louvain. Rozgłos przyniosła mu powieść pt. „De Witte" o zabawnych przygodach wiejskiego urwisa. W latach ostatnich napisał m. in. autobiograficzną powieść „Jeugd" (Młodość) oraz powieść pt. „De oude klok" (Stary zegar).

Dzieła Ernesta Claesa tłumaczone są na kilkanaście języków. Charakteryzował go lekki, pełen humoru styl.

W roku 1912 poślubił holenderską powieściopisarkę Stefanię Vetter.

### NAUCZYCIELKA — PROFESOREM FOTOGRAFII

■ Pod takim tytułem radziecki miesięcznik „Sputnik" przynosi artykuł o karierze fotograficznej Niny Swiridowej.

*Nina Swiridowa*

Nina ukończyła filologię na uniwersytecie w Moskwie, potem pracowała jako nauczycielka w jednej z moskiewskich szkół, ucząc języka rosyjskiego i literatury. Od dawna interesowała się sztuką, a nawet sama chętnie malowała. Niestety, to co malowała nie zadowalało jej wcale. Pewnego razu, niemal przypadkiem, wzięła do ręki aparat fotograficzny i „wypstrykała" wszystkie 36 zdjęć. Ku jej zdziwieniu zdjęcia się udały i co najważniejsze z fotografii tych patrzyły żywe ludzkie oczy, uśmiechały się żywe ludzkie usta. Osiągnęła to o czym marzyła malując — — aby oddać wizerunek żywego człowieka z jego radościami i smutkami. Odtąd Nina nie rozstaje się z aparatem fotograficznym. Po zajęciach zawodowych robi zdjęcia swoich uczniów „pstryka" na ulicach, fotografuje wszędzie tam, gdzie tylko są ludzie. Po jakimś czasie zanosi zdjęcia do gazety nauczycielskiej. Zainteresowano się tam nimi. Redakcja drukuje artykuł o Ninie, nauczycielce, która zdobyła drugi fach — fotografowanie.

Redakcja proponuje Ninie, aby przyjęła pracę zawodowego fotokorespondenta. Choć żal było jej porzucać pracę pedagogiczną decyduje się. Główny i ulubiony jej temat to człowiek, a zwłaszcza — dzieci. „Każde dziecko — to odkrycie" — mówi Nina.

ANTONI SZRAM

# Jak wystawa, to tylko w Warszawie...

**(Kartki z wystawy)**

„Jak sukcesy, to..." Proszę mnie źle nie zrozumieć cóż, kiedy warszawscy krytycy zachowali wobec malarstwa Henryka Strumiłły postawę co najmniej dyplomatyczną. Nie było dyskusji, ani wymagań artystycznych pod adresem autora — zmowa i milczenie, jakby wszyscy przywykli już do tego typu malarstwa. Nic też dziwnego, że z „otwartym" ustosunkowaniem się do kwestii par excellence artystycznych i u nas panuje raczej skompensowana wstrzemięźliwość. Jeżeli tym razem miałbym nawoływać naszych artystów do patriotyzmu, do umiaru ambicji, a równocześnie zachęcać do inicjatywy pokazu-premiery swoich dzieł zawsze wpierw w rodzinnym mieście, a potem dalej i dalej... to po to by wesprzeć ich, niejako przygotować do konfrontacji na „innych frontach artystycznych".

I tak skomplikowała się sprawa z przestawieniem kolejności ekspozycji; w stolicy twórczość łodzianina przyjęto z umiarkowanym entuzjazmem i kiedy wystąpimy z „chwalbą", posądzą nas o protekcjonalizm — zgodnie, czy wbrew intencjom — zespalając miejscową opinię środowiska z własnym zdaniem. Potraktujmy dorobek Henryka Strumiłły bardziej jako propozycję wyjściową, aniżeli metę poszukiwań, zmian artystycznych.

Nowych zjawisk w polskim malarstwie współczesnym spotykamy niewiele. Nowe prawdy nie są nowe. Obrazów koncepcjo-podobnych maluje się rocznie coraz więcej. Wprost się już ich nie pamięta — dlatego nie wymagają one (paradoks!) interpretacji, dziś osądza się funkcje twórcy bez pośrednio kształtującego poglądy odbiorcy. Uczciwa robota twórcy równie uczciwej podlegać musi ocenie. To oczywiste.

Jeżeli jeszcze dwa lata temu domagano się w pierwszym rzędzie uszanowania autorytetu sztuki abstrakcyjnej (weneckie biennale), to dziś chodzi krytykom sztuki tylko o ratowanie pozorów jedności — w ogólnej opinii, aprobującej tamto malarstwo, dzisiaj pojawiły się poważne rysy. Nastąpiło uprzywilejowanie malarstwa tzw. „nowej figuracji". Jednakowoż — dodajmy zaraz — malarstwo Henryka Strumiłły przede wszystkim przeznaczone jest dla laickiej opinii publiczności, głównie w tym aspekcie staje się interesujące. Obrazy nam zaprezentowane (numerowane) trzeba zakwalifikować w poczet „sklasyczniałej" sztuki nieprzedstawiającej. Do tej kategorii w ostatnich latach wrzucono bardzo, bardzo dużo płócien. Czyż zatem, szukając odpowiednich środków przekazu, nie eksperymentuje? Tworzywo i warsztat może są przestarzałe, technika malowania przedstawia dla artysty wartość samoistną. I to — jak widać — malarzowi wystarcza. W serii obrazów uzyskuje autor kunsztowne zestawienie barwne, drapieżność faktur, efektowne „brudy artystyczne" kontrastują z pustymi białymi płaszczyznami. Widoczna jest ekspresja gestu, znajdujemy dalekie echa sztuki figuratywnej. Jednak, przy całym szacunku dla pracy autora, skłonny jestem twierdzić, że tylko część umiejętności została tu wykorzystana, redukcja w obrazie warstwy filozoficznej uczyniła zeń twór artystyczny, który w zderzeniu z widzem przedstawia próżnię ideową. Z obrazów tych wyziera modna dziś jałowa estetyzacja.

Cała kompozycja kolorystyczna tworzona różnymi odcieniami brązów „ustawionych" na bieli przynosi atmosferę śnieżnych szlaków, po których poruszają się ładunki życia, materii. Oto eleganckie płótno, niemal ascetyczne, jak nierzadko się zdarza, sprzyja koncentracji — do czasu: przy dziesiątym (podobnym) wygasa ekspresja, działanie... Oto znajdujemy obraz. Wydaje się nam, że dopatrzyliśmy się: konia, kozy, szeregowca na przepustce i innych stworzeń tego świata. Po co? — ostatecznie twórcy nie o to chodzi. Nasze oko czuje zwartość kompozycji, wartość aktu twórczego, zostawia problem ich wzajemnej gradacji na razie na uboczu, szuka treści — ustala jej brak (nic nie zwykłego się nie dzieje na wierzchu płótna), mruga więc i wędruje dalej. Ciekawa jest artystyczna konkluzja — obrazy te działają jednorazowo, kryją w sobie część prawdy, fascynują nastrojem estetycznym doraźnie, są nieokreślone do końca. To niby truizm.

# Notatnik KULTURALNY

### PONIEDZIAŁEK

Głośno ostatnio o realizowanym obecnie dwuseryjnym filmie przygodowym o tym jak kanonier Dolas rozpętał drugą wojnę światową. W gazetach pełno informacji kto gra, kto reżyseruje, kto przesuwa reflektory. Tylko pomija się jakoś osobę Kazimierza Sławińskiego, który o kanonierze Dolasie napisał książkę. Jest to denerwujące przeoczenie, zwłaszcza że w naszej filmowej praktyce stanowi zbyt częstą regułę. A praktyka ta dotyka nawet największych naszej współczesnej literatury. Opowiadał kiedyś Jarosław Iwaszkiewicz, że ujrzał w NRF na księgarskiej wystawie książkę „Matka Joanna od Aniołów". Nazwisko autora wypisane było wielkimi literami: Jerzy Kawalerowicz. Książka była brykiem ze scenariusza ilustrowanym fotosami z filmu. W tym stanie rzeczy uznano nazwisko prawdziwego autora „Matki Joanny" za zbędne. Smutne, denerwujące, ale prawdziwe.

### WTOREK

Ledwo skończyły się wakacje i już po letniej posusze mamy zatrzesienie różnego rodzaju wystaw. Sprowadzono więc do Klubu Dziennikarza, ciekawe, choć kontrowersyjne obrazy Henryka Strumiłły, które przed paru tygodniami oglądała Warszawa. W Muzeum Etnograficznym mamy interesującą wystawkę plakatu, która szczególnie warto obejrzeć, bo przecież nasz plakat artystyczny zdobywa w świecie zasłużone brawa. Natomiast Muzeum Włókiennictwa, bardzo zasłużone w propagowaniu polskiej tkaniny artystycznej przedstawia swój wystawienniczy dorobek w postaci ekspozycji plakatów i katalogów dotychczasowych wystaw w kraju i za granicą. Bardzo tego dużo, co świadczy o dużym dorobku. Podkreślam to szczególnie, bo tak się składa, że ekspozycje tego Muzeum choć nieraz rewelacyjne, jakoś umykają uwagi publiczności. A geyerowska „Biała Fabryka" kryje w swym wnętrzu prawdziwe skarby.

### ŚRODA

Nieczesto zdarzają się w łódzkich szkołach tak wzruszające uroczystości, jak ta w Technikum Budowlanym nr 2. Żegnano dziś człowieka, który przed pół wiekiem rozpoczynał swą trudną i odpowiedzialną pracę pedagogiczną. Żegnano Romana Dąbrowskiego, bodaj najstarszego dyrektora szkoły w Łodzi, który kiedyś przed laty Technikum to założył (nazywało się wówczas Technikum Gospodarki Komunalnej). Dziś już i nazwa szkoły inna i budynek inny — nowy, przy budowie którego pracowali zarówno nauczyciele jak i uczniowie. Tylko dyrektor — Roman Dąbrowski, był przez te lata zawsze taki sam, kochany przez młodzież, szanowany przez kolegów, zawsze na posterunku w swojej szkole, mimo brzemienia lat... Na uroczystość pożegnania dyrektora Dąbrowskiego nie mogli przybyć wszyscy jego wychowankowie — jest ich ponad 3 tysiące, pracują w całym kraju na różnych, nawet najwyższych stanowiskach. Nie pomieściłaby ich sala Technikum, ale wierzę, że w tej chwili wieńczącej jego piękne życie nauczyciela, wszyscy myślami byli przy nim.

### CZWARTEK

Zaproszono do niewielkiej salki projekcyjnej „Filmosu" sekretarzy podstawowych organizacji partyjnych ze śródmieścia. I dobrze się stało, bo wciąż ta instytucja jest za mało znana, a jej rola w propagandzie i wszelkiego rodzaju szkoleniach — ogromna. „Filmos" dysponuje ponad 4 tysiącami kopii filmów dokumentalnych i oświatowych, udzielać może w razie potrzeby rad metodycznych, jak wykorzystać film o szkoleniu i propagandzie, dysponuje nawet prelegentami... Szkoda tylko, że nie dysponuje filmami o tematyce włókienniczej. Ale to nie wina „Filmosu" — po prostu w Łodzi, która jest jednocześnie stolicą włókiennictwa i filmu takiej tematyki jeszcze nie podjęto. Trochę to dziwne, ale cóż robić. Można natomiast czerpać pełnymi garściami z zasobów „Filmosu" jeśli chodzi np. o film dokumentalny, tak przydatny w szkoleniu partyjnym.

### PIĄTEK

W Zygrach coś się wreszcie robi. Dotychczas ginęła wizja, fonia i... cześć. Teraz już mamy nawet specjalna planszę informującą, że to nawalają Zygry a nie np. nowe studio warszawskie, które też jest „na dotarciu" i usterek dostarcza nam sporo. W ten sposób prawie 100-tysięczna armia posiadaczy telewizorów w naszym województwie ma już pełna jasność odnośnie usterek. Niestety, gorzej jest w sprawach zasadniczych. Wciąż jeszcze zbyt szczupła jest sieć placówek ZURiT w województwie, zbyt mało jest tam fachowców z prawdziwego zdarzenia... Łódzkie Technikum Łączności, które tych fachowców kształci ma zbyt mało miejsc dla młodzieży z województwa. Tak więc nie tylko Zygry są telewizyjnym problemem o czym odpowiednie instytucje usługowe jak ZURiT czy WZGS mogłyby pamiętać. Wygodnie jest oczywiście zwalić wszystkie winy na nieszczęsny przekaźnik, ale wciąż rosnąca armia posiadaczy telewizorów czeka na sieć placówek usługowych i na odpowiednie kadry fachowców. A braki w tym względzie utrudniają życie amatorom telewizji, kto wie czy nie w większym stopniu niż przekaźnik w Zygrach.

### SOBOTA

Nie wiem kto wpadł na pomysł, aby młodych widzów w „Arlekinie" obdzielać programami spektaklu w formie... laleczek. Ale pomysł jest przedni — godny „Wesołej maskarady", lalkowo - maskowej składanki, która podbiła Anglików na niedawnym występie Arlekina w Wielkiej Brytanii. Dodam jeszcze, że zarówno scenografię jak i pomysłowe laleczki - programy projektował nie kto inny tylko Adam Kilian. Tak jest! Ten sam, który jest „ojcem" telewizyjnego rodzeństwa Jacka i Agatki. Jeśli do tego nazwiska dodamy jeszcze reżysera Henryka Ryla, teksty wg Kolberga i Dygasińskiego — „Wesoła maskarada" śmiało może być uznana za jeden z lepszych dziecięcych spektakli. Tak to zresztą oceniono na festiwalu w Anglii. W krótkiej notce nie sposób oddać urok i barwy tego przedstawienia — dość powiedzieć, że realizatorzy zastosowali w nim nie spotykane dotąd kolorowe cienie rodem z chińskiego teatru. A to zobaczyć trzeba, koniecznie — nawet dla dorosłych będzie to przeżycie niemałe.

### NIEDZIELA

Piękny dokument przywiązania do własnej szkoły — księga wspomnień, pamiątkowy album z okazji 50-lecia Gimnazjum Miejskiego w Łodzi. Leży przede mną ten spory tom wydany przez PZWS, kartkuję go i co chwila spotykam nazwiska wychowanków — Marian Spychalski, Władysław Bieńkowski, Marian Piechal, Edward Szuster, Marian Wnuk... nazwiska znanych polityków, artystów, sędziów, lekarzy, prokuratorów... Była ta szkoła kuźnią kadr inteligencji w swojej półwiecznej historii i dobrze się stało, że zadbano o publikację tego pięknego dokumentu, tej pięknej książki... „Myślę — napisał w niej Marian Spychalski — że nasza szkoła była w okresie międzywojennym jakimś prototypem tych wielu dzisiejszych nowych, przygotowujących do życia społecznego, kształcących ludową inteligencję szkół, jakie mamy w całej Polsce". To jest prawda o starej łódzkiej szkole a dokonania jej wychowanków dobitnie tę prawdę poświadczają.

JERZY WIDOK

LOUISE BOGAN

# Rozmówki

Przyjął ich pan Williams. Zamknięciem drzwi wejściowych odgrodzono straszliwy upał panujący na dworze. Pan Tracy znał pana Williamsa. Pani Tracy nie znała ani pana ani pani Williams. Niezbyt skwapliwie zgodziła się wybrać w to upalne popołudnie nowojorskie na herbatę do dwojga nieznajomych, najprawdopodobniej śmiertelnie nudnych ludzi. Ale już, stało się, przyszła. We frontowym hallu tych Williamsów było przynajmniej chłodno.

— Jak się masz, Robert. Dzień dobry pani — powiedział pan Williams.

Weszli do pokoju w głębi, za hallem. Było ciemno prawie jak w studni, bo na tyłach domu wznosiły się ze wszystkich stron wyższe od niego budowle. Paliły się dwie lampy.

— Sybilla przyjdzie za chwilę. I za chwilę dostaniemy cocktail. Napije się pani?

Owszem, napije się. Ten pan Williams wyglądał dość sympatycznie. Zaraz też zjawiła się zapowiedziana pani Williams i zaczęły się przywitania jak na komendę.

— Co za upał — rzekła pani Williams.

— Rzeczywiście — odparła pani Tracy.

W pokoju było tak ciemno, że trudno jej było „obejrzeć" dokładnie panią Williams. Nie mogły więc wymienić owego bystrego, szacujące go spojrzenia, jakie wymieniają między sobą dwie kobiety, które się nigdy jeszcze nie oglądały. Ale pani Williams zrobiła na pani Tracy miłe wrażenie. Miała jasne włosy i nadzwyczaj zgrabną figurę.

— Jaki to ładny pokój! — rzekła pani Tracy.

— Mieszka się tu jak na dnie studni — odparła pani Williams.

— To lustro jest wspaniałe — zauważył Robert.

— Wspaniałe, prawda? — zawołała pani Williams. — Pochodzi ze Stunton Fyles. A przynajmniej jesteśmy prawie pewni, że pochodzi ze Stunton Fyles.

Było to wielkie lustro, sięgające prawie aż po sufit, jak gdyby się wspinało po ścianie. Robert i pani Williams przeszli przez pokój, aby przypatrzeć mu się z bliska. Okazało się nagle, że wszystko co dotyczy Stunton Fyles jest Robertowi wiadome. Olbrzymi ten dom w Sommersetshire pokrajano po wojnie na kawałki i wywieziono do Ameryki.

— Siadźmy tutaj — zwrócił się pan Williams do pani Tracy.

Usiedli na kozetce obitej brokatem w delikatnym liliowym kolorze. Taka sama stała po przeciwległej stronie pokoju. Tam siądzie Robert i pani Williams — pomyślała pani Tracy. Ona i Robert, w parze z panem i panią domu, siedzący naprzeciw siebie. Jak miło — myślała. W jej domu nie było tak harmonijnej równowagi. Rozpychało się gości po kątach. Choć nie widziała wyraźnie pani Williams, była przekonana, że jest to osoba posiadająca w najwyższym stopniu dar przyjemnego organizowania życia.

— Więc wróciliście państwo do miasta — odezwał się siedzący przy niej łokieć w łokieć pan Williams. — Gdzież państwo byli?

Powiedziała gdzie byli. Pan Williams znał tę miejscowość. Prześliczny widok, to połączenie gór i morza. Ale mieszkańcy Nowej Anglii mało co wiedzą o sposobach przyrządzania ryby. Gotowana, smażona albo duszona. Co innego Skandynawowie: ci poddają rybę wszystkim procesom kulinarnym znanym ludzkości. Ryba w occie, ryba suszona, marynowana, zupa rybna, timballes, pasztety...

— Aha, są i cocktaile — przerwał sobie pan Williams. — Niech Piotr postawi tutaj. Proszę, niech pani wybiera, mogę polecić.

Nóżki kieliszków cocktailowych rozszerzały się w baniaczki zawierające nieruchome miniaturowe okręciki z rozwiniętymi żaglami.

Robert i pani Williams siedzący naprzeciwko robili wrażenie, jak gdyby znaleźli już wspólny język. Pani Tracy spojrzała znów na pana Williamsa.

— Mój przyjaciel Knut Swenson, ten pianista, powiedział mi wszystko co powinno się wiedzieć o Skandynawii i o rybach — mówił dalej pan Williams. — Czy zna pani Knuta? — Nie, nie znała go. — Wspaniały chłop. Ciekawe, że będąc Skandynawem tak dobrze gra Mozarta, prawda? — Przyznała mu rację. — Można by się spodziewać w jego wykonaniu czegoś ciężkiego, jak to ich sagi, wie pani, co? Lubi pani Mozarta? — Bardzo lubiła. — A pani gra na fortepianie? — Troszeczkę. A pan Williams? Tak, pan Williams grał. Pani Tracy uznała to za coś wyjątkowego: mężczyzna, Amerykanin, grał dobrze na fortepianie! To prawda, pan Williams podzielał jej zdanie. Gdyby nie to, że chodził do szkoły w Lipsku na pewno nie grałby na fortepianie. A czy pani Tracy zna Lipsk? Nie, nie znała.

Pan Williams napełnił znowu wszystkie kieliszki. Robert opowiadał pani Williams jak to było, kiedy się wybrali na połów głębinowy.

Pani Tracy miała wrażenie, że pan Williams prowadzi rozmowę z nią dość żwawo wprawdzie, ale bez wielkiego zapału. Po trzech dniach sierpniowego upału odczuwała w tych chłodnym pokoju odprężenie i pewną ociężałość. Wróciwszy na swoje miejsce pan Williams podjął poprzedni temat. Rozprawiał obszernie o Mozarcie. Co za płodność! Niepodobna wysłuchać go całego, choćby się co dzień godzinami siedziało z nadstawionymi uszami przy gramofonie. I ta delikatność, ta czystość, ta subtelność, ta budowa!

— Oczywiście — rzekł pan Williams — zgodzi się pani ze mną, że wszelka sztuka musi mieć budowę. Łuk proscenio wy teatru...

— Jim — zainterpelowała męża pani Williams z fotela naprzeciw. — Wyobraź sobie, że pan Tracy znał Billa Nixona i nie wie, iż Elsa wyszła ponownie za mąż!

— Bill przyjaźnił się z moim bratem — rzekł Robert. — Ja sam dobrze go nie znałem.

Pan Williams wstał, by znów napełnić kieliszki. Potrząsnął głową, marszcząc czoło z wyrazem troski i dezaprobaty.

— Elsa jest dowodem, że odpowiedzialność za śmierć ludzką może obciążać sumienie kobiety — rzekł.

— Patrzcie, patrzcie! — pomyślała pani Tracy. — Więc pan Williams potrafi zdobyć się na potępienie!

— Wyszła powtórnie za mąż prawie natychmiast po śmierci męża — mówiła dalej pani Williams. — Nie mam pojęcia, co się stało z jej trojgiem dzieci. Pewnie zostawiła je w Szwajcarii. To wszystko stało się w Szwajcarii, wie pan. Ciało znaleziono w szczelinie skalnej.

— Czy znała pani Selinę Force? — zwrócił się pan Williams do pani Tracy. — Owszem, znała. Twarz pana Williamsa rozjaśniła się. — Urocza kobieta, urocza ale niepewna. Znałem ją jako żonę Allena Wittersa. A czy spotkała pani kiedy tego chłopaka, którego Selina upatrzyła sobie zeszłego roku w Tucson? Podobno chce się rozwodzić z jego powodu. Myśli pani, że John zgodzi się na rozwód?

— Ten chłopiec z Tucson jest co najmniej o osiem lat młodszy od Seliny — odezwała się przez pokój pani Williams. — Czy nie należałoby się spodziewać po Selinie odrobiny więcej zdrowego rozsądku, nawet teraz? — do dał najsłodszym w świecie głosem.

Wszyscy obecni spodziewali się po Selinie odrobiny więcej zdrowego rozsądku.

W tok rozmowy wpłynęła teraz cała ławica wspólnych znajomych z przeszłości i teraźniejszości, po których należało się spodziewać odrobiny więcej zdrowego rozsądku. Cal Kimball był na językach całego miasta, słyszeli państwo? Eunice Lynd wystawia się na pośmiewisko już od wczesnej wiosny. Sara Goss (chyba znają państwo Sarę?) wdała się z jakimś marynarzem czy stewardem czy kimś podobnym. A jeśli chodzi o Malcolma Blacka, pani

Fot. S. Chybowski

Williams (i pan Williams, i pan Tracy, i pani Tracy) nie mieli wątpliwości, że popełnił samobójstwo.

Po czwartym cocktailu pani Tracy znów zwróciła uwagę na posępną atmosferę pokoju. Wyglądało jak gdyby zbliżała się burza. Może jednak był to efekt tych wysokich budowli dokoła? Rozmawiała teraz z panem Williamsem znacznie żywiej niż z początku. Porozumiewali się znakomicie. Po piątym cocktailu doszła do przekonania, że czas już na nią i Roberta. Trzeba było iść. Robiło się późno. Oczy pani Tracy były zajęte inwentaryzacją otoczenia, język trzepał nieprzytomnie i wesoło; wiedziała jednak że czas już iść. Błądziła wzrokiem po całym pokoju, katalogując szczegóły. Siedziała oczyma wdzięczne kształty krzeseł w stylu regencji, złoconego rokokowego lustra, cennej w swej prostocie kozetki, na której siedziała ona i pan Williams. Spokojnie i łagodnie płynęli pod żaglami okręciku uwięzionego w nóżce cocktailowych kieliszków. Układała sobie, że skoro tylko pan Williams skończy drobiazgowe opowiadanie o nieszczęsnej sprawie Malcolma Blacka, ona wstanie, powie „Bardzo nam było miło" i pójdą. Tymczasem siedziała i czekała uśmiechając się, bo wydawało jej się, że widzi przed sobą na podłodze, w cieniu, szczątki rozbitego łuku prosceniowego i muzykę Mozarta potrząsaną w kawałki, które leżały rozsypane: tu tryl, tam pasaż, ówdzie struna. Na pewno pan Williams uważał jej uśmiech za niestosowny w chwili, gdy on doszedł właśnie w swym opowiadaniu do najbardziej wstrząsającego momentu. To nic, dostarczyła mu może skromnego tematu do rozmowy. Na przyszły tydzień będzie mógł zapytać osobę siedzącą w tym pokoju: — Czy lubi pani Mozarta? A czy zna pani taką zabawną, trochę głupawo uśmiechającą się panią Tracy?

Przełożyła:
ZOFIA KOZARYNOWA

## Lewym okiem

### ŚWIT NOWEJ ERY

*Ewolucja gatunków, żyjących na naszej planecie, trwała jak wiadomo miliony lat. Jej ukoronowaniem, produktem szczytowym pozostaje jak dotąd człowiek, przy czym odrębność tego właśnie gatunku od wszystkich innych ssaków zaczęła się, według mężów uczonych w tej materii, w momencie oderwania od ziemi przednich kończyn, stopniowego przejścia do pozycji pionowej, zwolnienia rąk od obowiązku dźwigania ciężaru ciała.*

*Rozwój człowieka i jego sposobu bycia, inaczej mówiąc — jego kultury, dzieli nauka na szereg epok: jaskiniowa, kamienna, brązowa itd. Niewykluczone jednak, że wszystkie te epoki będziemy musieli niedługo zagregować w jedną większą superepokę, kończącą się chyba i przechodzącą w nową zupełnie jakość: myślę mianowicie, że z okresu bytowania pionowego przechodzimy do formacji sedentarnej, czyli również i nogi zwalniamy z obowiązku noszenia nas samych.*

*Większą część dnia spędzamy już dziś w pozycji siedzącej. Z każdej możliwości, z każdej okazji korzystamy, żeby usiąść, zarówno przy pracy, jak w czasie odpoczynku, rozrywki, zabawy, jedzenia, narady. Urzędnicy to wiadomo — siedzą całe życie. Procent pracowników umysłowych, czyli urzędników, w stosunku do ogółu zatrudnionych wzrasta i musi tak być. Wzrasta więc liczba ludzi siedzących z zawodu. Fizyczni nie pozostają w tyle — nowoczesne maszyny obsługuje się, siedząc na higienicznych, arcyracjonalnych taboretkach, stołkach, siodełkach. Nie biegają już kobiety w fabrykach włókienniczych za samoprzędnicami wózkowymi. Nie ma chłopów — długodystansowców, odbywających wielokilometrowe marsze za pługiem, z kosą, z broną. Traktorzysta orze, kosi, młóci i kopie ziemniaki siedząc na siodełku Ursusa. Na ulicach Londynu i Nowego Jorku chodniki są pustawe, a zatłoczona do niemożliwości jezdnia. Przesuwają się po niej miliony ludzi siedzących. Schody w wielkomiejskich wieżowcach służą już tylko w wypadku katastrofy, normalnie jeździ się windą, siedząc na dermą wyścielanych ławkach. Długie szeregi ludzi z łopatami, kopiących rowy, budujących drogi, tamy, nasypy, widzimy już tylko na filmowych reportażach z Dalekiego Wschodu. U nas nawet dla wybrukowania podwórza trylinką przyjeżdża elegancki młodzieniec na spychaczu i nie wstając ani na chwilę z siedzenia przekopuje co trzeba w parę minut.*

*Jeszcze tylko przemawia się w pozycji pionowej, ale chyba nie po to jakiś tam nasz praprzodek oderwał łapy od ziemi, żeby za sto tysięcy lat przemawiać na konferencji. Przemawianie w pozycji stojącej ma swój głęboki sens — siedząc każdy by gadał za długo. Był już nawet projekt zarządzenia, nakazującego w czasie przemówień stać na jednej nodze. Szkoda, że to nie przeszło. Oczywiście — słuchacze nie muszą stać, z wyjątkiem Norwegii: gdy przemawia król norweski, obowiązuje wysłuchanie jego słów na stojąco. Nawet stenotypistki muszą wstać i stojąc notować słowa majestatu.*

*Nie wiemy, jakie będą skutki posadzenia całej ludzkości, rezygnacji z używania nóg. Zmieni się zapewne nawet budowa ciała, kręgosłup zwiotczeje, rozszerzą się biodra i wypełnią piankową elastyczną tkanką. Krnąbrnego podwładnego nie będzie już straszyć przełożony: ja was posadzę! — tylko: ja was postawię, to wam się odechce! Znikną kolejki przed sklepami z obuwiem, zamiast kozaczków wystarczą wygodne bamboszе czy nawet same skarpetki. Miejsce zawodów biegaczy i maratończyków zajmą wyścigi na przeróżnych mechanizmach, a może i zawody — kto dłużej wysiedzi i na czym. No i olbrzymie zwycięstwo myśli. Tylko siedząc można wymyślać niestworzone historie. Dlatego z optymizmem witamy nową erę w rozwoju ludzkości: erę kosmicznego siedzenia.*

CWIEK

Redaguje zespół: Karol Badziak, Halina Bekowa (red. techn.), Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2466. IX. 68. P-8.